

odgłosy



6. IX. 1970 r.
36 (668)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Fot. W. Pietrzyk

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

„Pozdrówcie ode mnie Polskę”

Heiliger See. A nad nim księżyc jak cepeliowski gong, a niżej ciemna smuga brzegu, a nad nią jakby luna dopiero co wzniesionego ognia, a w samym środku tej poświaty bijącej od miasta-giganta dostojny rubin wieży telewizyjnej — to już Berlin zachodni...

Idziemy brzegiem jeziora. Brzeg jest niewygodny, nie sprzyja spacerom. Równina, a pełno tu uskoków i zapadlin. Przed nami jakaś budowla. To Pałac Marmurowy, wzniesiony — pamiętam z kupionego dzisiaj prospektu — w latach 1787—90 przez Gontarda i Langhansa. Mieści się w nim muzeum armii, ale muzeum znajduje się w remoncie, więc nasz poczdamski cicerone nie przywiódł nas tutaj.

Mijamy szary kompleks budowli i stajemy wśród relikwów czegoś, co gwałtownie, jak uderzenie obuchem rozwiewa ten księżycowo-liryczny nastrój. Stoję o trzy, cztery metry od szarej bryły. Tak, doskonale pamiętam obrysy tych kształtów, pelzające w zgrzycie gąsienic cielska-bluzgające ogniem: To „Tygrys”... Tuż obok niego „Ferdynand”...

W dłoni nie ma granatu, w dłoni nie ma butelki z benzyną. To nie ulica Wilcza, nie Mokotowska. „Tygrys” i „Ferdynand” nie posiadają żadnych znaków rozpoznawczych, nie ma na nich czarnych krzyży. Lita szarość wtapia się w cichy, bezszelstny o tej porze Nowy Ogród, w gwieździste nad nim niemieckie niebo.

Stoimy tak minutę, może dwie. Prawa dłoń zwisa bezczynnie. To był tylko moment, ułamek niedoświadczonych sekund, kiedy ręka zdawała się sama podnosić do wymaganego rzutu. Człogowe cielska — widma stoją na dziedzińcu Muzeum Niemieckiego Wojska, statyczne, od lat, od ćwierci wieku. Cóż, kiedy rodakowi z ulicy Wilczej, czy do niego Mokotowa przeświadczenie o ćwierćwiecznej statyczności żelaznych brył nie potrafi jednak do reszty wygasić wizji ruchu, wizji plucia ogniem nad dudniącym brukiem jezdni przeoranej barykadą, tamtej wizji bezbronnych kobiet i dzieci pędzonych przed cielskami hitlerowskich czółgów...

— Pójdziemy już — powiada Gabryela.

Odchodzimy. Niedaleko stąd, w tym ogrodzie, dwadzieścia pięć lat temu położono kres gigantycznej zbrodni. Po południu byliśmy w Cecillienhofie. Każdy z nas pamięta co innego. Marian pamięta hotel, w którym w czasie odpoczynku w trakcie trwania konferencji poczdamskiej siadywał Stalin, a z którego amerykański dziennikarz skradł głowicę znad oparcia, by robić potem furorę za Oceanem, zupełnie jakby tylko on jeden posiadał serdeczny palec świętego Franciszka z Asyżu. Teresa pamięta nie mający nic wspólnego z wielką wojną i jej finałem obraz ogrodu, wiszący w jednej z sal odwiedzanych przez miliony turystów: stoisz z lewej strony obrazu — dróżka wiodąca przez ogród znajduje się na wprost ciebie, idziesz i dróżka idzie z tobą,

Dalszy ciąg na str. 4

Tradycyjne czy nowoczesne

Z kierownikiem Łódzkiego
Domu Meblowego „Domus”
Jerzym Marciszewskim
rozmawia

Włodzimierz Stokowski

— Panie Kierowniku, gdyby otrzymał Pan dziś mieszkanie, jakie meble kupiłby Pan dla siebie?

— Ograniczyłbym się do mebli segmentowych, ale oczywiście najpierw musiałbym obejrzeć mieszkanie. W małym, najbardziej ustawne są segmenty. W „DOMUSIE” prezentujemy duży ich wybór. Są niedrogie, a ładne i funkcjonalne. Mam oczywiście także sporo innych rodzajów mebli również estetycznych i stosunkowo niedrogich. Niczego nie sugeruję — odpowiadam na pytanie.

— Jakże to są meble?

— Krajowe i importowane, zróżnicowane w typach, modelach no i w cenach. Mebli mamy coraz więcej, ale ponieważ zapotrzebowanie narasta jak lawina, więc wciąż ich brak. Na dowód, że masa towarowa stale rośnie dwie liczby: w sierpniu ub. r. mogliśmy każdego dnia sprzedać meble za sumę 20 milionów zł. W

sierpniu tego roku już za 24 miliony. Wszystko wskazuje na to, iż w przyszłym roku będzie ona jeszcze wyższa.

— Czy krajowe meble są dobre?

— Są coraz lepsze. Niektóre modele są nawet bardzo udane. Dostrzegamy różne niedociągnięcia w samej kosmetyce, w wykończeniu. Sygnalizujemy o tym fabrykom, jesteśmy bowiem zdania, iż konsument ma prawo stawiać wymagania, a my z kolei jesteśmy zobowiązani oferować mu produkt najwyższej jakości. Na przestrzeni lat zdobyliśmy już pewien kredyt zaufania naszej klienteli i nie chcemy go stracić. Dlatego też surowo oceniamy meble dostarczane do „DOMUSA”.

Asortyment mebli krajowych uzupełniamy importem.

— Skąd?

— Głównie z NRD i Rumunii, następnie z Węgier i Jugosławii, trochę z Cze-

chosłowacji i Bułgarii oraz niewiele ze Związku Radzieckiego. Import jest również jedną z form wymiany doświadczeń w tej gałęzi produkcji.

— Widziałem wśród modeli sprowadzanych z zagranicy komplety tradycyjne, a nawet stylowe. Ceny wysokie.

— Tak. Ale mimo to cieszą się one dużym wzięciem. Są funkcjonalne, ładne i starannie wykonane. Wbrew powszechnie panującej opinii, stylowe meble mają też wielu amatorów i sprzedajemy je bardzo szybko.

Jednakże, ogólnie rzecz ujmując, kupujący nastawieni są na meble nowoczesne, praktyczne, niedrogie i dostosowane do mieszkania w nowym budownictwie.

— Czy wszystkie wzory mebli, które

Dalszy ciąg na str. 3



Zaledwie rozpoczęły się rozmowy ambasadora Jarringa z wyznaczonymi przez ZRA, Jordanię i Izraela negocjatorami, którymi są stali przedstawiciele tych państw w ONZ, a już była pierwsza przerwa. Zażądał jej przedstawiciel państwa Izrael, który pośpiesznie udał się na konsultacje do Tel Awiwu. Co uprawiało go w zakłopotanie? Podobno pytania, jakie pod adresem tych trzech państw skierował Jarring, a które m. in. dotyczyły granic.

Równocześnie Tel Awiw wystąpił z szóstą w ciągu 20 dni skargą na Egipt, że rzekomo umacnia swą sieć rakietową w strefie Kanalu Sueskiego, naruszając tym militarne status quo. ZRA natomiast skierowała oskarżenie o koncentrowanie przez Izrael w tejże strefie silnych oddziałów wojskowych.

W tym samym czasie bliscy współpracownicy Nixona wysunęli sugestie, aby amerykańsko-radyckie oddziały nadzorowały pokój na Bliskim Wschodzie. Propozycja, mająca — być może — charakter próbnego balonu, wywołała gwałtowny sprzeciw Izraela. Wicepremier Allon uznał, że byłoby to „oddalenie pokoju”.

Pełne sprzeczności przemówienie wygłosiła Golda Meir. Z jednej strony podkreśliła „identyczność poglądów z USA”, z drugiej wspominała o różnicach na temat „długiej i ciężkiej drogi do pokoju, na którą Izrael wszedł nie żywiąc zbyt wielu iluzji”. „Nie jest wykluczone — mówiła — że w jakimś stadium rokowań Amerykanie powiedzą: Oto pokój, a my powiemy: Jeszcze nie”.

W świetle tej wypowiedzi, która nie ukrywa różnic między USA i Izraelem, warto zastanowić się, dlaczego obecnie Waszyngton zainteresowany jest osłabieniem napięcia bliskowschodniego? Odpowiedź na to pytanie odnaleźć można na łamach prasy amerykańskiej. Oto, co wynika z jej lektury:

— Uwielbiam się w wojnę indochińską, która pochłania zawrotne sumy dolarów, potrzebne na realizację pilnych programów krajowych, rodzi obawę, że podobnie może się stać na Bliskim Wschodzie. Obciążałoby to bardzo konto wyborcze Nixona.

— ZRA i cały świat arabski znacznie umacnia swe polityczne znaczenie na arenie międzynarodowej. Postępujące angażowanie się przeciwko tym krajom musiałyby izolować Stany Zjednoczone.

— Eskalacja wydarzeń bliskowschodnich w kierunku otwartego konfliktu musiałaby prowadzić do zwiększonych dostaw nowocześniejszej broni i sprzętu dla Izraela. Wtedy z pewnością analogiczną bronią dysponowałby Egipt.

— Gospodarka amerykańska bardzo potrzebuje ropy bliskowschodniej. Od kilku tygodni przepowiada się w Stanach Zjednoczonych nieuchronny wzrost cen na produkty naftowe. Zwiększony import ropy z Bliskiego Wschodu mógłby te tendencje powstrzymać.

Tak więc interesy Stanów Zjednoczonych w pewnych punktach zaczęły się rozchodzić z wojowniczą postawą Izraela.

Jak można ocenić aktualną sytuację na Bliskim Wschodzie?

Dokonano dotychczas tylko niewielkiego kroku w kierunku pokoju. Ale i ten krok wywołał gwałtowny sprzeciw izraelskich zwolenników kontynuowania wojny. Stąd wciąż nowe trudności.

Kraje arabskie, aby realizować swój program rozwoju gospodarczego, potrzebują pokoju, dla Izraela natomiast wojna ze swymi sąsiadami mogłaby być równoznaczna z zagrożeniem jego istnienia. Nie ma więc innej drogi, niż tylko negocjacje, zmierzające do rozstrzygnięcia pokojowych. Niestety, ta oczywista prawda postępowaniem Izraela jest jeszcze podważana.

„Bardzo ważne jest teraz — mówił w piątek w Alma Ata Leonid Breżniew — aby siły pokojowe na Bliskim Wschodzie nie wypuszczały z rąk inicjatywę uregulowania konfliktu i nie pozwoliły przeciwnikom pokoju na stopniowe osiągnięcie porozumienia albo wykorzystanie go dla osłonięcia swoich zaborczych planów.

We wspólnym interesie narodów leży uczynienie wszystkiego, co jest możliwe, ażeby doprowadzić do uregulowania kryzysu na Bliskim Wschodzie”.

Skoro już wspomnieliśmy o przemówieniu sekretarza generalnego KPZR na uroczystym posiedzeniu z okazji 50 rocznicy powstania Republiki i Partii Komunistycznej Kazachstanu — zwróćmy uwagę na ten fragment wystąpienia, który odnosi się do stosunków radziecko-chińskich.

Jak wiadomo — w Pekinie w dalszym ciągu toczą się rokowania między delegacjami rządowymi obu krajów. Ich tematem są wzajemne stosunki. Oto, co o przebiegu rozmów powiedział L. Breżniew:

„Rokowania toczą się powoli, jednakże nie tracimy nadziei, przejawiamy i będziemy przejawiać konstruktywne i cierpliwe podejście, dążąc do znalezienia rozstrzygnięcia omawianych problemów, które byłyby do przyjęcia dla obu stron. Chciałoby się mieć nadzieję, że także strona chińska odpowie tym samym...”.

W przemówieniu wyrażona jest gotowość przywrócenia dobrego sąsiedztwa i przyjaźni między narodami chińskim i radzieckim.

W. SŁAWSKI

„GUARDIAN” — LONDYN

Doniesienia o bestialstwach sągońskich dozorców więziennych wstrząsnęły całym światem. Relacje z jednego z najstraszliwszych obozów koncentracyjnych w Wietnamie Południowym zamieszcza amerykański dziennikarz w brytyjskiej gazecie.

☆

Już samo wspomnienie o Con Son wywołuje wśród Wietnamczyków uczucie grozy. Ta „Wyspa diabła” jest największym więzieniem Południowego Wietnamu. Tutaj, w siedmiu obozach koncentracyjnych, torturuje się 9916 więźniów politycznych. Con Son nazywają także „uniwersytetem Ho Szi Minha”, chociaż on sam więźniem tej katowni nigdy nie był. Nazwa pochodzi stąd, iż wielu Wietnamczyków po „ukończeniu” tego „uniwersytetu” wstępuje w szeregi Vietcongu.

1

— Con Son wcale nie wygląda na jakąś tam „Wyspę diabła” — zapewniał kongresmenów przed ich podróżą inspekcyjną do Wietnamu, Franck Whalton, szef misji amerykańskiej przy reżimie sągońskim. — Wygląda raczej na letni obóz skautów...

Ale my słyszeliśmy o niej zupełnie coś innego. Pod naciskiem długiej i uporczywej kampanii protestacyjnej, prowadzonej przez ruch studencki Południowego Wietnamu, władze reżimowe były zmuszone uwolnić pięciu studentów — więźniów Con Sonu. Studenci złożyli oświadczenie, że więziono ich w straszliwych warunkach, w tych samych „tygrysiach klatkach”, które ongiś wybudowali francuscy kolonizatorzy.

W piśmie, skierowanym do Zgromadzenia Narodowego Południowego Wietnamu, studenci piszą: „Wegetując w straszliwych warunkach, wciąż głodni, pozbawieni choćby prymitywnej odzieży i pośladki, więźniowie zapadają na ciężkie choroby. Dzień i noc trzymają się ich zakutych w kajdany, bije. Większość naszych współtowarzyszy z celi ma sparaliżowane nogi, wielu choruje na dyzenterię i gruźlicę spowodowane krańcowym wycieńczeniem, wielu na chorobę żołądka, powstałą w wyniku tortur, polegających na podawaniu ryżu zmieszanego z piaskiem i żwirzem, wielu cierpi na jeszcze inne ciężkie schorzenia. Z powodu braku witamin, niektórym więźniom obumarły stopy. Lekarstwa rozdziela się według widzimisie strażników. Oni też najczęściej sprzedają je na czarnym rynku za wiedzą więzienną administracji...”

Ile jest prawdy w tej relacji studentów? Jakże są fakty? Aby odpowiedzieć na te pytania powołano specjalną komisję Kongresu USA. W skład komisji wchodził: członkowie Izby Reprezentantów — Hockins i William Andersson, ekspert Thomas Harkins i ja. Komisji towarzyszyli przedstawiciele naczelnych władz organów bezpieczeństwa.

2

O godzinie 9 minut 58, dwadzieścia minut po przyjeździe z lotniska, uzgadnialiśmy już program naszej wizytacji z naczelnikiem więzienia, pułkownikiem Nguyen Van Vi. Z początku wymienialiśmy towarzyskie uwagi na temat naszej podróży samolotem i uroków wyspy. Rozmowa rozkręcała się bardzo powoli. W pewnej chwili Thomas Harkins przeskończył nieoczekiwanie od rozważań o pogodzie i pięknym krajobrazie górskim do spraw konkretnych.

— Czy mogliśmy porozma-

wiać z więźniami? — spytał wprost.

— Ależ oczywiście — odparł z uśmiechem pułkownik Vi w nie-nagannej angielszczyźnie. — Będzie można to zorganizować.

— Mamy tu listę więźniów, z którymi chcielibyśmy rozmawiać — dodał Harkins. — Oto nazwiska osób, które, według posiadanych przez nas informacji, przebywają w obozie i które pragnęlibyśmy zobaczyć.

Pułkownik Vi wziął do ręki listę, na której widniało sześć nazwisk:

— Musicie ponownie otrzymać zezwolenie ministerstwa spraw wewnętrznych, jeśli chcecie roz-

Na „Wyspie diabła”

mawiać z konkretnymi osobami — powiedział pułkownik Vi, ledwie rzuciwszy okiem na wykaz.

— Ale przecież naszym zadaniem jest zapoznanie się ze wszystkimi aspektami pomocy amerykańskiej dla Południowego Wietnamu — wtrącił się do rozmowy Hockins. — Możecie poprosić ministerstwo o takie pozwolenie telegraficznie.

W tym momencie, wspomniany już na wstępie Franck Whalton, główny amerykański doradca do spraw więziennictwa w Południowym Wietnamie, nie wytrzymał i zrywając naszym uporem wykrzyknął:

— Już od początku nadużyłicie waszych pełnomocnictw, panowie! Jeżeli chcecie zobaczyć konkretne osoby, powinniście poinformować o tym przede wszystkim nas. Takie chwytły się wstrętne i nieetyczne!...

Pułkownik Vi przeszedł nagle na język wietnamski i poprosił tłumacza, aby przekładał na angielski:

— O pozwolenie zapytam ministerstwo telegraficznie, ale nie otrzymam odpowiedzi wcześniej niż przed godziną 11. A o tym czasie musicie już panowie odlecieć do Sajgonu.

— Nie szkodzi, mamy czas, możemy poczekać — odparł Hockins. Już najwyższy czas, abyśmy rozpoczęli wizytację więźniów. Czy macie mapę wyspy z rozlokowaniem obozów?

— Obawiam się, że nie — odpowiedział pułkownik Vi.

Do rozmowy znów wtrącił się Whalton, wyjaśniając, że takiej mapy nie sporządzono ze względów bezpieczeństwa.

Zrobiło się późno i trzeba było już zaczynać, żeby się nie spóźnić na samolot do Sajgonu. Gdy wstawaliśmy od stołu, pułkownik Vi podszedł do swego adiutanta i wydał mu ostatnie instrukcje odnośnie zezwolenia z Sajgonu: „Czy ministerstwo odpowie, czy też nie, to i tak nie ma to żadnego znaczenia” — powiedział Vi do adiutanta po wietnamsku.

Na razie nikt jeszcze nie wiedział, że znam ten język.

Wreszcie wszyscy wsiedliśmy do trzech dżipów i ruszyliśmy do

obozu numer 2. I oto przed nami stanęli więźniowie... Na twarzach, podobnych do masek, zastygło uczucie strachu. W pomieszczeniu dla chorych zaczęto nam opowiadać, jak tu rzekomo dobrze pracuje służba lekarska: „Jest tu lekarz, który bada i leczy każdego więźnia z osobna. Poziom pomocy lekarskiej odpowiada współczesnym wymogom wiedzy medycznej”.

Kongresmeni zadali chorym kilka pytań:

— Czy karmią was dostatecznie?

— Tak, dają nam ryż, suszoną rybę i owoce — odpowiedział jeden.

— Czy dają wam lekarstwa?

— Tak, codziennie otrzymujemy lekarstwa — powiedział inny...

W trakcie tej indagacji odszedłem na bok i nawiązałem rozmowę z jednym z chorych. Zaczął mi szybko opowiadać: „Jestem więźniem politycznym. Aresztowano mnie jeszcze za czasów Diema. Nie wiem, kiedy mnie wypuszczą. Jest tutaj bardzo źle. Widzi pan tego chorego? Nigdy nie otrzymywał leków. Żadnych lekarstw. Żadnych owoców...” W tym momencie podszedł do nas strażnik i więzień mówił dalej: „...Jest nam tutaj dobrze. Nie tak, jak na wolności, ale mamy dużo jedzenia, a tutejsza administracja jest dla nas dobra”...

Kiedy dozorca zorientował się, że znam język wietnamski, zaczęli podejmować rozpaczliwe próby, aby przeskądzać mi w rozmowie z więźniami.

Hockins zaproponował wizytację obozu nr 4. Znów wsiedliśmy do dżipów, ale zawieziono nas do obozu nr 5. Thomas Harkins zwrócił się do jednego z więźniów i poprosił mnie, żebym tłumaczył. Tym razem strażnik stał obok nas.

— Skąd pochodzisz?

— Z Bien Tri.

— Kiedy cię aresztowano?

— Dziesięć lat temu.

— Za co?

— Jestem więźniem politycznym.

— Ale jaki był konkretny powód twego aresztowania?

— Aresztowali mnie władze prowincjonalne.

— Zostałeś aresztowany na pewno dlatego, że byłeś zdrajcą! — odpowiedział strażnik.

— Zostałem uwieczniony dlatego, że jestem zdrajcą — powtórzył apatycznie więzień.

Inny więzień odpowiedział mi, że nie zna przyczyny aresztowania.

— Miałeś w ręku granat i zamierzałeś kogoś zabić! No nie?! — wrzasnął na niego pułkownik Vi.

— Tak, miałem w ręku granat i zamierzałem kogoś zabić — szybko „sprostował” więzień...

Tak było wszędzie, gdy tylko strażnik kręcił się w pobliżu:

— Tak, jedzenie jest bardzo smaczne...

— Tak, otrzymujemy listy z domu...

A kiedy go nie było:

— Nie, nie dają nam jeść!

— Nie, nie wolno nam otrzymywać listów, ani pisać do domu!

Po obejrzeniu obozu nr 5. Hockins ponowił żądanie wizytacji obozu nr 4. Właśnie tam, jak nam mówiono, znajdują się „tygrysi klatki”...

Gdy wsiedliśmy na teren obozu wszystko było tak, jak nam opowiadano. Ale nie dostrzegaliśmy od razu wazliwego przejścia między ścianami dwóch murowanych budynków. Na wprost znajdowały się niewielkie okute drzwi.

— Dokąd prowadzą te drzwi?

— spytał Hockins pułkownika Vi, i nie czekając na odpowiedź zaczął w nie pukać i szarpać klamką.

— To są drzwi do innego obozu — odpowiedział Vi. Możemy tam wejść od drugiej strony.

Ale nie daliśmy się zwieść pułkownikowi, pamiętaliśmy bowiem słowa byłego więźnia obozu, znającego rozlokowanie „tygrysi klatki”: „Istnieje do nich tylko jedna droga. Należy przejść przez niewielkie drzwi w murze, w końcu ścieżki między budynkami”.

— Zmęczylem się — powiedział twardo Hockins. Czy nie można by postać kogoś, żeby otworzył drzwi z tamtej strony? Poczekamy tutaj.

— Te drzwi są zawsze zaryglowane i nie ma przez nie przej-

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

★ HIPPIESI PO ANGIELSKU — Teresa Wojciechowska

★ WOJNA W OKU KAMERY — Jerzy Wilmański

★ EUROPA PO USTĄPIENIU DE GAULLE'A —

prof. dr Józef Dutkiewicz

oraz felietony, recenzje, nowela kryminalna.

śła — objaśnił nas tonem bardzo oficjalnym naczelnik więzienia.

— Ale jak na zawołanie, do drzwi podszedł ktoś z drugiej strony i uchylił je, żeby zobaczyć, co się dzieje. Skorzystaliśmy z tej okazji i precyzyjnie się do środka...

3

Naszemu oczom ukazały się „tygrysy klatki”, usytuowane wzdłuż całego budynku, jedna obok drugiej. Weszliśmy po schodkach i zajrzeliśmy do klatek... W każdej z nich 3-4 stłoczonych więźniów. „Tygrysy klatki” — to ciasne celki z betonu. Jedyne „umeblowanie” stanowią drewniane kubły na nieczystości, opróżniane każdego dnia rano. Rozmiary tych betonowych pudełek nie przekraczają półtora na dwa i pół metra. W każdej celi nie mniej, niż trzech ludzi. U góry wąskie otwory zabezpieczone kratami ze stali. Te straszne klatki umieszczone w kilku murowanych, niskich budynkach, po 60-70 klatek w każdym.

— Wody! — jęknął jeden z więźniów.

— Chcemy pić! Jesteśmy głodni!

— Biją nas! — rozpaczliwie wołał inny.

Jeden z więźniów chwycił się kraty i powiedział do nas: „Jestem tu tylko dlatego, że walczym o pokój! Zaraz po naszym wyjeździe znów przykują nas do ścian”. Inny więzień, wskazując na bliźni na sparalizowanych nogach, dodał: „Przez wiele miesięcy byliśmy zakuci w łańcuchy. Jesteśmy głodni, chcemy pić. Chorujemy. Błagam choć o jeden łyk wody. Jestem buddyjskim mnichem, walczyłem o pokój w 1960 roku. Moja cała wina polega na tym, że chcę pokoju. Bito mnie i zakuwano w kajdany, ale mimo wszystko żądam pokoju!”

Przy każdej celi stoi wiadro z wapnem. Pytam pułkownika Vi, do czego ono służy?

— Do mycia ścian — odpowiada.

— Nie! Nie! — wołają więźniowie. — Śpią na nas, gdy prosimy o jedzenie. Kaszlemy wówczas i plujemy krwią. Wielu z nas choruje na gruźlicę, i ci nie mogą oddychać!

Jakiś więzień krzyknął do nas: „Są jeszcze inne klatki. Zobaczcie je. Siedzą w nich kobiety. Często słyszymy ich krzyki. To niedaleko stąd”.

Ruszyliśmy do sąsiedniego budynku. Znowu podwójne rzędy klatek. W każdej przynajmniej po pięć kobiet, w wieku od 15 do 70 lat. Wiele ciężko chorych leżało na betonowej podłodze maleńkich cel, a ich współtowarzyszki wachlowały je łachmanami.

— Ile masz lat? — pytam jedną z dziewcząt.

— Osiemnaście.

— Jesteś studentką?

— Nie. Jestem robotnicą. Pracowałam w fabryce.

— Za co cię aresztowano?

— Brałam udział w demonstracji pokojowej.

— Jesteś komunistką?

— Nie, nie jestem. Nie interesuje mnie polityka. Interesuje mnie pokój!”

4

Do „tygrysi klatek” wtrącono przeszło 500 więźniów. Morzą ich głodem, nie dają wody, na ich ciałach widnieją liczne ślady ciężkiego pobicia.

Gdy opuszczaliśmy więzienia z „tygrysi klatkami” znów wpadł na nas z furją Franck Whalton:

— Nie macie prawa wtrącać się do wewnętrznych spraw wietnamskich! Przyjechałście tu, żeby narobić hałasu! Jesteście gośćmi pułkownika Vi i nie wypada wam wsadzać nosa tam, gdzie sobie tego nie życzą. To w ogóle nie wasza sprawa!

— Nasza! — ostro zareplikował Hockins. — Stany Zjednoczone przeznaczają duże środki na te więzienia. W Północnym Wietnamie amerykańscy chłopcy także siedzą w więzieniach. Mam nadzieję, że tam nie postępują z nimi tak, jak postępują się z więźniami tutaj!

No i wreszcie powróciliśmy do gmachu, gdzie mieszczą się władze administracyjne wyspa-więzienia. Tutaj pułkownik Vi „przepraszał nas, że nie otrzymał jeszcze zezwolenia ministerstwa na naszą rozmowę z sześcioma więźniami tygrysi klatek. Telegram bowiem dotąd nie nadszedł!”

(Wł. St.)

Tradycyjne

Czy nowoczesne

Dalszy ciąg ze str. 1

eksponuje Pan w „DOMUSIE”, można nabyć choćby zaraz?

— Nie. Niektórych nie mamy w magazynie, gdyż zostały sprzedane. Ich wzorce eksponujemy jednak nadal, ponieważ meble te mamy w planie dostaw i wkrótce znów znajdą się w magazynach. Ekspozycji meblowej nie zmieniamy, bowiem chodzi nam o pełną prezentację asortymentu mebli krajowych i importowanych, które można nabyć w „DOMUSIE”. Importerzy, którzy składają nam wizyty, stwierdzają zgodnie, że jest to godna naśladowania, nowoczesna organizacja handlu meblami. Zwłaszcza goście z NRD, Węgier i Czechosłowacji uważają łódzką formę sprzedaży mebli za jedną z najlepszych w Polsce i proponują nam wymianę doświadczeń oraz wspólne poszukiwanie jeszcze innych form handlu tym artykułem. Nasze rozwiązanie sprzedaży mebli zapewni klientowi dostarczenie ich w idealnym stanie, bowiem drogę od producenta do konsumenta skróciliśmy do minimum.

— Przed rozmową z Panem, chodząc po pańskim królestwie, słyszałem uwagi, że meble jest wciąż za mało.

— Istotnie, meble ciągle brakuje, ale decydują o tym względy ekonomiczne w szerszym tego słowa znaczeniu. Przemysł meblowy nie jest priorytetowy i rozwija się wolniej, niż inne gałęzie przemysłu, ważniejsze dla rozwoju naszej gospodarki narodowej. Mimo to masa towarowa wyrobów przemysłu meblarskiego rośnie z roku na rok, o czym już zresztą wspominałem na wstępie naszej rozmowy. Konsumpcja rośnie jednak jeszcze szybciej. Stąd trudności.

Problem ten ma zresztą i inny jeszcze aspekt: jakich mebli jest za mało? Otóż to. Przede wszystkim brak zestawów meblowych, przystosowanych do małych mieszkań typu M-1, M-2 czy M-3. Dlatego też nie mamy w „DOMUSIE” takich typowych ekspozycji mieszkaniowych, które moglibyśmy zaoferować klientowi. Dysponujemy na ogół bogatym asortymentem segmentów, zestawów i kompletów meblowych, którymi można umeblować mieszkanie, ale — powtarzam — częstokroć trudno je funkcjonalnie rozstawić na małych powierzchniach. Mieszkania nie są już „powielane”. Wprowadza się coraz to nowe rozwiązania. Tutaj pragnę zwrócić uwagę chyba na jeden z najważniejszych problemów naszego przemysłu meblarskiego: projektanci mebli nie synchronizują swoich projektów z projektami mieszkań. Skutek: szafy przedpokojowe trzeba nieraz przycinać z boków, lub pilać od góry, żeby weszły na „swoje” miejsce. Są to zabiegi skomplikowane i kosztowne, w dodatku nie zawsze skuteczne. Brak ścisłej współpracy pomiędzy obu tymi kołkami wzajemnymi jest, w dalszych konsekwencjach, przyczyną niezadowolonych naszych konsumentów, kosztownych reklamacji oraz nieporozumień i konfliktów w sferze: handel-konsument. Moim zdaniem należy zastrzyć selekcję projektów meblowych, a nie odpowiadające realiom nowoczesnych mieszkań — bezwarunkowo odrzucać. Sądzę, że bodźce materialnego zainteresowania wpłyną na szybkie usunięcie elementów przypadkowości w tej ważnej dla nas kwestii.

— Czy trudności te, o których mówił Pan przed chwilą, dotyczą również mebli typu „Kowalskich”?

— Częściowo. Nawet ten rodzaj mebli rzadko dziś pasuje „bez reszty” do nowoczesnych mieszkań i wymaga szybkiej aktualizacji. Wprawdzie łódzka i koszalińska fabryki mebli — nie odwołując się do przyjętych projektów — wprowadzają pewne innowacje do segmentów „Kowalskich” i dostosowują je do potrzeb mieszkań typu M-3, ale są to próby na małą skalę. Fabryka w Koszalinie wprowadziła do produkcji całkiem nowy rodzaj segmentu o wymiarach 50-60 cm, który zapewnia kąt pokoju. Ale na tym koniec. W każdym razie ważne jest to, że coś się w tej dziedzinie robi. Niemniej i tu ujawnia się brak współpracy między projektantami.

— Czy importujemy segmenty?

— Nie. Ale wspomnę na marginesie, że w NRD meble produkuje się ściśle

według projektów, dostosowanych do mieszkań. Można nimi obudować nawet drzwi i okna.

— A czy w „DOMUSIE” ma Pan segmenty względnie „bezkolizyjne”?

— Oczywiście. W zasadzie „Kowalscy” są „bezkolizyjni”, że użyję pańskiego określenia, i — po pewnych zabiegach stolarskich, albo i bez nich — można nimi funkcjonalnie zabudować mieszkanie. Chodzi mi tylko o to, ażeby projekty tych mebli stale aktualizować, dostosowywać je na bieżąco do nowych, zróżnicowanych powierzchni mieszkaniowych.

Odmienne typy segmentów, w kształcie „klocków” — tak bym je nazwał — wytwarza Wyszowska Fabryka Mebli. Można z nich również skompletować estetyczny i funkcjonalny zestaw, ale też nie do każdego mieszkania. W pewnych sytuacjach można komponować segmenty „Kowalskich” z segmentami wyszkowskimi. Nasz plastik proponuje pewne rozwiązania, lecz taka zaozyczna sugestia, tylko na podstawie określenia typu mieszkania jest na ogół trudna.

— A sprawa kompletowania mebli. Ktoś ma stół i sześć miękkich krzesel oraz kanapę. Po paru miesiącach chce dokupić na przykład fotele, tapczanę i stół lub amerykańkę. Albo kupuje cały zestaw jednakowych mebli i chce dokupić do nich parę innych, oczywiście pasujących do całości?

— Trudna sprawa. Bardzo trudna. Komplet mebli o jednakowych kolorach o bić, o jednakowych wzorach, fakturach tkanin itp., jak również o jednakowych okleinach trafiają się niezmiernie rzadko. I tu znów problem braku koordynacji projektów tym razem pomiędzy fabrykami mebli. Bo tak: jedna fabryka produkuje tapczany i inne fotele a jeszcze inna krzesła. Każda tapicerka różni się kolo-



rem, wzorem i fakturą tkanin oraz rodzajem okleiny twardej części mebli. Wszystkie te meble, jeden od Sasa, drugi od Iasa, spotykają się w „DOMUSIE”. Proszę teraz dobrać sobie zestaw takich samych mebli! Obecnie tylko Nowiejska Fabryka Mebli produkuje zestaw tapicerowany, składający się z kanapy, dwóch foteli i ławy. Ale nie produkuje krzesel!

— Stąd wniosek, że fabryki powinny nastawić część swej produkcji na zestawy tapicerowane, które można by komponować z meblami segmentowymi.

— Niewątpliwie. Taką pierwszą jaskółką jest właśnie fabryka nowiejska. Ale to zaledwie kropla w morzu naszych rynkowych potrzeb. Ostrość tego problemu łagodzi w pewnym stopniu Woj. Przedsiębiorstwo Handlu Meblami, prowadzące sprzedaż mebli tapicerowanych „na białą”, które można pokryć według własnego gustu. Usługi takie, niestety w bardzo ograniczonym zakresie, prowadzi „ADAS”.

— Jaka jest Pana opinia o meblach z importu?

— To są dobre meble. Zwłaszcza z NRD, Rumunii i Czechosłowacji. Część z nich jest w formie tradycyjnej, ale nowoczesnie stylizowana. Meble są ładne, dobrze wykończone i funkcjonalne, stosunkowo niedrogie i mają licznych nabywców. Niestety, mamy ich niewiele. W tym miejscu nie od rzeczy będzie wspomnieć, że i nasze fabryki produkują coraz lepsze meble, a niektóre spośród nich nie ustępują meblom importowanym.

— Kiedy następuje szczyt sprzedaży mebli?

— Z reguły w drugim półroczu. Akurat w tym samym czasie występują zakłócenia w dostawach mebli i co za tym idzie — duże zamieszanie na rynku. Tak się składa, że właśnie w trzecim kwartale fabryki mebli przerywają produkcję na ok-

res letni. Z punktu widzenia rachunku ekonomicznego jest to dobre rozwiązanie. Tylko że w III i IV kwartałach oddaje się do użytku najwięcej mieszkań i w związku z tym w drugim półroczu „wybuch” również szczyt sprzedaży mebli. Można by tych perturbacji rynkowych uniknąć, gdyby konsumenci kupowali meble w pierwszym półroczu. Trudno jednak dokonywać tak poważnych zakupów nie mając jeszcze mieszkania.

— Czy krajowi producenci biorą pod uwagę fakt, iż budownictwo mieszkaniowe idzie teraz coraz bardziej w górę i że transport mebli na wysokie piętra jest nader skomplikowany?

— Poruszył Pan sprawę dostawy mebli zdemontowanych. Nie jest to taka prosta sprawa, jak by się mogło wydawać. Najbardziej zaawansowana w dostawach mebli zdemontowanych jest Łódzka Fabryka Mebli, produkująca segmenty „Kowalskich”. Inne fabryki dopiero zaczynają się specjalizować w tej formie dostaw. Ogólnie rzecz biorąc nasze przemysł meblowy nie jest jeszcze do tego przygotowany. Ideą dostaw mebli w stanie zdemontowanym, w paczce, jest ułatwienie transportu, poczynając od fabryki, a na mieszkaniu konsumenta kończąc. Transport taki jest wygodny, tani i co najważniejsze — nie powoduje zniszczenia mebli. To nowoczesna forma dostaw mebli. Jednakże o powodzeniu tego przedsięwzięcia decyduje parę przysłówiowych drobiazgów: każdy mebel musi mieć dokładny projekt, pouczający w sposób zwięzły i jasny, jak dany mebel należy zmontować, oraz po drugie — sam proces montażu musi być prosty, nieskomplikowany. O toż, pomijając już fakt, że nie wszystkie nasze fabryki dołączają prospekty do mebli, to jeszcze w dodatku ich montaż jest tak zwany, że nabywca bez tzw. „politechnicznej iskry” nie złoży go nigdy w życiu. Przykład: typ zdemontowanego

mebla M-4, wykonany przez Koszalińską Fabrykę Mebli — musi je montować stolarz, i to obeznany z tym typem mebli...

Niemniej próbom naszych fabryk, choć jeszcze nieudanych, należy przyklasnąć i życzyć im szybkiego opanowania techniki produkcji oraz dostaw mebli zdemontowanych.

— Czy do sprzedaży w „DOMUSIE” wchodzi jakieś nowe wzory mebli?

— Tak, ale zbyt wolno. Droga „od pomysłu do przemysłu” jest jeszcze wciąż długa. Na Targach Wiosennych 69 i następnie na giełdach w tymże roku, handel zaakceptował wiele nowych wzorów mebli. Jednakże do dnia dzisiejszego, wlec po upływie z górą roku, zaledwie parę spośród nich weszło do produkcji i ukazało się na rynku. Zresztą w niewielkich ilościach.

— Czy „DOMUS” nie jest za mały na potrzeby Łodzi?

— Nie. Jest to drugi co do wielkości obiekt tego typu w kraju. W „DOMUSIE” eksponujemy meble i załatwiamy formalności sprzedaży. I na to miejsca mamy dość. Meble z fabryk przychodzą wprost do magazynów „DOMUSA” i stamtąd odbywa się ich transport do mieszkań naszych nabywców.

— Czego by Pan życzył swoim klientom?

— Coraz bogatszego asortymentu ładnych i funkcjonalnych mebli, a w związku z tym pragnąłbym, aby projektanci oraz producenci mebli zechcieli częściej spoglądać na owoce swej pracy okiem konsumenta, żeby zadawali sobie pytanie: „Czy kupiłbym to do swego mieszkania?” Jestem przekonany, że byłoby wówczas dużo mniej tak zwanych trudnych problemów meblowych, ujawniających się na styku: fabryka-handel-konsument...

Rozmawiał: WŁ. STOKOWSKI

„Pozdrówcie ode mnie Polskę...”

Dalszy ciąg ze str. 1

jest ciągle na wprost ciebie, przystajesz z prawej strony obrazu — dróżka zaprasza, tkwi nieustannie na wprost ciebie... Mnie utkwił w pamięci minibalkon z minibalustradą nad salą obrad Wielkiej Trójki i schody tam wiodące. Tłoczyć się musieli koledzy po piórze, a może było ich wtedy nie tak znowu wielu — nie po trafila na to pytanie odpowiedzieć przewodniczka; wiedziała, że jednym z nich był późniejszy prezydent USA John Kennedy...

— To miłe, że mówią po polsku — po wiedziała o przewodniczce po Pałacu Cecilienhof któraś z naszych dziewcząt — To bardzo miłe, co powiedziała o swojej wjezi z polskością...

Pochodzi ze Śląska Opolskiego. Do czter nastego roku życia rozmawiała z matką po polsku, potem matka umarła, do domu przysłała inna kobieta, mówiąca tylko po niemiecku, potem przyszedł Hitler. „Teraz wy tu przyjeżdżacie, więc ja znowu mogę mówić po polsku, jak z mamusią”. Tak powiedziała stara kobieta, prze wodniczka po pałacu-muzeum kresu najstraszliwszej z wojen.

Pewien szczegół w ekspozycji w hallu muzeum zrytował Mariana — technika z Wielunia, z miasta bestialsko zbombardowanego już w pierwszych godzinach na paści Niemiec hitlerowskich na Polskę. Jeszcze w czasie zwiedzania 230-hektarowego parku Sanssouci powtarzał dane z tablicy ofiar drugiej wojny światowej: Związek Radziecki — dwadzieścia milionów, Polska — sześć milionów, Niemcy — pięć i pół miliona... Nie, nie można do cholery na jednej liście, nie można jednym tchem wylizywać tych strat! Strat najeźdźców i strat napadniętych, strat oprawców i strat ich ofiar!

— To już słuszną interpretacją — powiedziała rezolutna Lucyna, łodzianka — ale liczby są liczbami. Roznieśli tę pożogę, wpędzili narody w straszliwe nieszczęścia, prawda. Tego nie można zapomnieć. Ale i oni niech nie zapominają tych swoich pięciu i pół miliona...

Przez chwilę zbroń mi się nawet żal starego Fryca. Bo Peter, noszący znane dziś w świecie nazwisko zachodnoniemieckiego dyplomaty, który prowadził niedawno rozmowy w Moskwie, Peter — nasz uroczy pilot z „Jugendturist” mówił w najpiękniejszej sali rokokowej Pałacu Sanssouci o smutku króla, kiedy po kłótni z bawiącym tu Wolterem wielki myśliciel opuścił bezpowrotnie Poczdam. A Peter potrafił mówić w sposób ciepły także o Fryderyku II, o jego koncertach fletowych, choć powszechnie wiadomo, że dobry wojak i budowniczy wieksości architektury Poczdamu na flecie grał całkiem kiepsko. Oj, Peter, czyżby tak słabo było ze znajomością historii środkowoeuropejskiej? Więc już w schronisku młodzieżowym, przy spokojnej Eisenhartsstrasse, po południu, ja z kolei zabawiłem się w lektora. Musiał to być wywód przynajmniej, skoro Peter bezradnie rozłożył ręce. „To prawda — przyznał — wielki budowniczy Prus był jed-

nocześnie wielkim militarystycznym zaborcą...”

Ale młodzieńki Peter Bahr — kandydat na studenta poczdamskiego Instytutu Pedagogicznego, zadziwił nas, kiedy ktoś z naszych napomknął o niedawno ogładanym Pomniku Bitwy Narodów pod Lipskiem.

— Naciągala ta stara — powiedział o tamtejszej przewodniczce — Pruscy patrioci, rosyjski wybawca car Aleksander I, klęska tyranii francuskiej, a zwycięstwo wolnych ludów... Quatsch mit Sossel! Może i Napoleon musiał przegrać, ale Kongres Wiedeński toż to było uwsteczniczenie!...

W miejscu, gdzie znajdowała się najstarsza dzielnica ponad sto tysięcy mieszkańców liczącego Poczdamu, niewiele po zostało do dziś zabytkowych budowli. Wyrosło tu nowoczesne osiedle mieszkaniowe. Kwietniowy nalot w czterdziestym piątym był dla Poczdamu piekłem. Tak o tym powiedział stary, nadzwyczaj uprzejmy zamiatacz ulicy, który w zupełnym milczeniu przyjął przy tej okazji wiadomość, że kilkudziesięciodniowa zagłada naszej Warszawy kosztowała setki tysięcy istnień ludzkich... Stary pracownik por tu na Haweli, nad którym dziś króluje piękny wieżowiec hotelu „Potsdam”, zaprowadził nas przed pierwszy ratusz miasta, wzniesiony w latach pięćdziesiątych XVIII wieku, znajdujący się naprzeciw odbudowanego ogromnego kościoła klasycystycznego — Nikolaikirche. W starym ratuszu mieści się obecnie Dom Kultury imienia Hansa Marchwitz, zmarłego przed pięciu laty wybitnego niemieckiego pisarza i działacza ruchu robotniczego, człowieka, który w rozmowie z Wilhelmem Szewczykiem powiedział kiedyś, że jeżeli żyjących poza granicami ojczyzny Polaków szacuje się na sześć milionów, to jest to liczba nieścisła, bo on, Marchwitz, Ślązak, jest sześciomilionowym i pierwszym...

Piękną pogodą żegnał nas Poczdam w sobotni sierpniowy ranek. Włoczyliśmy się do dwupiętrowego berlińskiego pociągu. Naprzeciwko nas usiadł, zapytawszy grzecznie wpięty czy miejsce jest wolne, rosły młody człowiek. Zaczął niedwuznacznie wsłuchiwać się w mowę polską. Uśmiechał się w chwilach uzasadniających uśmiech, zupełnie jakby wszystko rozumiał.

— Wracacie do Polski? — zapytał jednak po niemiecku.

— Wracamy...

Był w Polsce już czterokrotnie. Zakopanem, Sopotem...

— Pięknie odbudowaliście zniszczony przez wojnę polski Szczecin — powiedział.

I wtedy, te dwa ostatnie słowa: „polski” i „Szczecin” podchwycił ktoś siedzący po drugiej stronie wagonu. Stary czło wiek powtórzył te dwa słowa zjadliwie, a znijwszy głos, pochyłony ku siedzącej naprzeciwko kobiecie, w podnieceniu komentował słowa siedzącego naprzeciw nas młodego Niemca. Młody człowiek wy chylił się ku siedzącemu tam w głębi pod oknem. To, co powiedział, było uderzeniem, błyskawicznym hakiem boksera.

— Nie można inaczej — wymierzajcie. Wymierzajcie i to szybko. Żeby człowiek z człowiekiem mógł w Europie serdecznie, po przyjacielsku rozmawiać, wolny od tych waszych złowrogich spojrzeń, od nieustannych podstępów...

Kiedy przed stacją Berlin-Schönefeld młody Niemiec sztykował się do wyjścia, powiedział uśmiechając się najwyraźniej szerzej:

— Do widzenia. Pozdrówcie ode mnie Polskę.

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI



POLONICA

ŚWIĘTO ODRODZENIA

Tradycyjnie już moskiewska „Literaturnaja Gazeta” uczela lipcowe Święto Odrodzenia kolumną polskich materiałów literackich. Znajdujemy w niej artykuł Zenona Kłiszki pt. „Doniosła misja literatury” (przedrukowany z kwartalnika „Kultura i społeczeństwo”) oraz rozmowę z Władysławem Machajkiem, który ostatnio przebywał w Związku Radzieckim na zaproszenie Związku Pisarzy ZSRR. Tę polską problematykę uzupełnia artykuł znanego radzieckiego publicysty, Lwa Ginzburga, na temat toczącego się aktualnie w NRF procesu komendanta obozu koncentracyjnego w Treblince („Krew i złoto”).

Do materiałów czysto literackich należą publikowane przez „L. G.” wiersze poetów polskich: Tadeusza Borowskiego, Jerzego Zagórskiego oraz Anny Kamińskiej w przekładach L. Tooma, A. Rewicza i N. Astafiejew. Tygodnik informuje jednocześnie, że wiersze te pochodzą z przygotowywanej właśnie przez wydawnictwo „Progres” antologii współczesnej poezji polskiej pod redakcją Włodzimierza Ogniewa. Warto także odnotować

fotoreportaż „L. G.” z Polski. Na zdjęciach wykonanych przez M. Trachmana znalazła się Stocznia Gdańska, Warszawska Fabryka Telewizorów oraz migawki uliczne z Warszawy, Wrocławia i Krakowa. K. F.

O NASZYCH GRAFIKACH

W wytwornym roczniku „Exlibriskunst und Gebrauchsgraphik, Jahrbuch 1970” wydawanym przez Deutsche Exlibris Gesellschaft, ukazał się obszerny artykuł o graficznej twórczości w dziedzinie ekslibrisu pary polskich artystów plastyków — Alny Kalczyńskiej (Kraków) i Henryka Płociennika (Łódź). Autor artykułu Norbert H. Ott (1943), historyk sztuki i filolog z wykształcenia, doskonały znawca sztuki ekslibrisu, zaopatrzył swe rozważania w znamienny tytuł — „O nowatorskich możliwościach w sztuce ekslibrisu”. Mała forma graficzna jaką jest ekslibris nie tylko przez laików bywa uważana jako swolsty margines w twórczości plastycznej najwybitniejszych artystów. N. H. Ott zgodnie z zasadą niepodzielności sztuki na „małą” i „wielką”, obala wiele utartych opinii stwierdzając w wstępie: „W perfercyjnym gatunku sztuki jakim jest

ekslibris istnieją nowatorskie tendencje, które oddziaływały na sztukę piękną jako całość”. Autor po szczegółowej analizie estetycznej i warsztatowej twórczości ekslibrisowej obojga twórców, kończy artykuł następującym stwierdzeniem: „Współczesna sztuka w dziedzinie ekslibrisu przejęła w ostatnich latach wiele inspiracji z wielkiej sztuki, mniej u nas w NRF, więcej w krajach Beneluxu i we Włoszech, ale dla wszystkich w sposób oczywisty w niektórych krajach socjalistycznych, Allana Kalczyńska i Henryk Płociennik są przykładami tych nowatorskich prądów. O ile ta tendencja ma się utrzymać i owocnie oddziaływać na sytuację u nas, należy z otuchą patrzeć na przyszłość owej „drobnostki”, którą zwiemy ekslibrisem”. Artykuł został wzbogacony licznymi i dobrymi technicznie reprodukcjami ekslibrisów.

Nie bez odcienia dumy donoszę, iż dnia 21 lipca br. w Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy w Łodzi z inicjatywy Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki otwarto wystawę pt. EKSLIBRISY HENRYKA PŁOCIENNIKA.

EM-KA

POLONICA

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

Taxi - stories

Licznik miarowo wystukuje złotówki taryfy dziennej. Wyświetlona „Warszawa” telepie się ulicami Łodzi. Resory nie amoryzują nierówności bruku, karozeria trzeszczy, skrzypi blacha na krzyżówkach tramwajowych szyn. Czasem zażgrzyta zmieniony bieg, zapliszczy hamulec. Silnik pracuje miarowo, odpoczywa pod czerwonym światłem, na skrzyżowaniach dróg.

Kierowca trzymający ster w ręku opowiada ze swadą najprzeróżniejsze historie. Komentuje aktualne zdarzenia, plotki, opowieści zasłyszane. Cheesz bowiem, reporterze, dowieść się ciekawych rze-

czy o mieście, w którym żyjesz i pracujesz — wsiadaj do taksówki i nadstawiaj ucha. Bowiem taksówka — to źródło wiadomości dobrego i złego, o mieście i o ludziach, o kraju i świecie.

No wiec...
— Pan wolny?
— Tak.
— To po Łodzi mieście...

Panie, jak to nigdy nie wiadomo z kim się jedzie i jak trzeba uważać, co się komu mówi.

Oto, nasz kolega, taksówkarz. On już zresztą po tej historii na taksówce nie jeź-

dzi, sprzedal wóz, rozpił się, ale ja mu się nie dziwię. Posłuchaj pan, co by pan na jego miejscu zrobił. Wie pan, jak to jest w naszym fachu. Człowiek nie tylko siedzi za tym kółkiem. Dzień i noc. Bo jak się chce zarobić na protektory, na części zamienne, przynieść trochę grosza do domu, coś odłożyć, bo przecież wóz nie jest wieczny, no to innej rady nie ma.

No i on tak samo jeździł rano i na nocną zmianę też. A żona i dziecko było w domu. Dziewczynka to nawet już szkołę kończyła. I jednego dnia, słuchaj pan, bo tego by nikt nie wymyślił, na postoju wsiada elegancki facet, siada obok niego na przednim siedzeniu. Więc ten kierowca pyta się dokąd jedziemy? A ten facet na to: „Do taaakiej...” i wyciąga notes, i podaje adres. I wie pan, że to był adres domu, gdzie mieszkał ten taksówkarz. On jak to usłyszał to zagląda temu facetowi do tego kalendarzyka i co widzi? Swoje nazwisko i imię żony. Nie się nie odezwał zawiadził tego faceta do siebie, pięćdziesiąt groszy wydał, a za

piętnaście minut przyjechał z powrotem z dwoma świadkami. Mieszkanie otworzył, a oni tam na nagusa... No i co by pan zrobił — no, powiedz pan?

W życiu to trzeba uważać. Czasem jedno, jak to się mówi odbicie szajby i koniec. Święty boże nie pomoże. Całe życie zmarnowane. Tu niedaleko mieszkał panie taki jeden człowiek. Pięciu groszy by pan za niego nie dał. Chudzina taka, w jednym paletku dziesięć lat chodził. Nigdy nie pił, najwyżej w domu, ale żadnych awantur nie robił, jak to się mówi, cichy, spokojny, nie wadził nikomu. Pracował w jakimś biurze czy urzędzie, ale nie żeby był dyrektorem czy kierownikiem. To była taka panie, średnia — przeciętna.

I słuchaj pan, jak to człowieka fantazja może zgubić. Otóż ten gość jednego dnia poszedł do SIM na śledzika. No i zabalował. Wie pan jak to jest — jeden śledzik jedna wódka — drugi śledzik, już dwie wódki, trzeci śledzik — już trzy wódki, potem już

cztery wódki, ale bez śledzika, a potem to już leci...

Alte ten chudzina zamiast zalać się jak normalny człowiek, to go napadła fantazja. Poszedł na postój taksówek i wynajmuje trzy taksówki. W pierwszej jedzie on, w drugiej jego szalik, a w trzeciej kapelusz. Jak taka karawana podjechała pod dom, to traf chciał, że zobaczyła to milicja i postanowiła już później po cichu sprawdzić, co to za magik ma taką fantazję. I wie pan co się okazało, że on na jakichś tam znaczkach grube nadużyca zrobił. Ale gdyby nie ta jedna jedyna fantazja nigdy by się to nie wydało... No i co pan na to?

Albo z jednym takim starszym, eleganckim pasażerem. Z postoju kazal się wzięć po kwiaty. To było wiosną, pamiętam jak dziś. Gość był ubrany jak się patrzy, biała koszulka, szary garnitur, wypachniony, prosto spod igły. Przyjemnie było jechać. Wszedł do kwaciarni, po chwili wraca i prosi, żebym mu pomógł przynieść bukiet kwiatów. Ale to był bukiet!!

Jeszcze takiego nie widziałem. Chyba z pięćdziesiąt i to same czerwone róże. Piękne. Takie, aż wiśniowe, na długich łodygach. Z tysiąc złotych to musiało kosztować. Ułożyłem te kwiaty na tylnym siedzeniu i jedziemy.

— Do kliniki położniczej — mówi, więc już wiem o co chodzi, ale się nie nie pytam.

Po chwili ten gość wyjmuję papierosinę elegancką, srebrną i częstuje mnie papierosem. Zapala i mówi: — Syn mi się urodził. — Widać, że jest taki dumny, bo to już był starszy gość, więc mu gratuluję i pytam czy to pierwszy.

— Pierwszy — odpowiada i zaraz prosi, bym pod klinika poczekał na niego, że on mi podwoźnię zapłać.

— „Czemu nie” — mówię mu — przecież od tego jest taksówka.

No, podjechałszy, ja jeszcze pomogłem wyjąć z wozu te kwiaty i czekam. Po jakimś kwadransie wychodzi. Od razu wiedziałem, że coś się stało, bo niósł te kwiaty z powrotem i szedł szybko, nerwowo, prawie biegi. Szarpnął

Marzyciel w twierdzy

Niewielka świetlica domu wczora sowego „Róża Wiatrów” była wypełniona do ostatniego miejsca. Oglądano dziennik TV, czekając na ukazanie się Wicherka. Za oknami lato. Deszcz padał od kilku dni. Wczoraj wczoraj z beznadziejną nudą wpatrywali się w jaskrawy prostokąt telewizora.

Zjawiała się pani Ewa, w płaszczu nieprzemakalnym, podeszła do kontaktu i salka wypełniła się światłem. Potem wylączyła telewizor.

Zaczęto protestować. Ktoś nawet brzydko zaklął.

Pani Ewa nie zwracając na to uwagi, powiedziała:

— Zgodnie z naszym zwyczajem odbędzie się teraz prelekcja na temat bogactw flory i fauny rejonu Giżycka. Prelekcję wygłosi pan Bogusław Domaniewski, zamierzony przyrodnik i znawca tych stron.

— Niech pani włączy lepiej telewizor!

— Chcemy wysłuchać pogody na jutro...

— Ciszej, bo nie nie słychać. Proszę powtórzyć komunikat — dał się ktoś z kąta. — Tu naprawdę nie słychać.

Siedziałem w pierwszym rzędzie. Z mojego miejsca doskonale słyszałem co mówiła pani Ewa i widziałem opalonego mężczyznę, sto jącego skromnie u drzwi. „Ten — pomyślałem. — No, musi się facet czuć, nie ma co. Po takim przyjęciu nie łatwo jest cokolwiek powiedzieć.”

Pani Ewa wzruszyła ramionami, podeszła do mężczyzny i powiedziała coś, co skwitował uśmiechem. Był to spokojny uśmiech człowieka, który widział nie takie rzeczy. Ten uśmiech uspokoił panią Ewę.

— Proszę się zachowywać — po wiedziała już w drzwiach. — Jutro będą następne atrakcje. Dobranoc państwu.

Prelegent powoli podszedł do stołu, oparł na nim silne, obnażone do łokci ręce i popatrzył na salę. W jego oczach był spokój. Czuję że ten człowiek ma nad nami przewagę i świadomość tego czy ni go spokojnym.

— Ciszej tam! — zaczęto krzyżeć.

— Kto nie chce słuchać, niech wyjdzie.

— Na taki deszcz? Niech pani sama wyjdzie.

— Spokój!

— Zaczynaj pan...

Jeszcze szuranie krzesłami, po-

kasływanie, zapalenie papierosów, czysts nerwowo, przekorny śmiech.

Pierwsze słowa prelegenta nie były głośne, zostały skierowane do najbliższych siedzących, jakby cho dzio o konieczną intymność, bez której niczego nie można rozpocząć. W narastającą ciszę, która stopniowo zapanowała na sali, popłynęła jedyna w swoim rodzaju opowieść, jakiej nie słyszałem dotąd, choć w swoim życiu przebyłem nie jeden tysiąc kilometrów. Człowiek oparty o stoł okazał się magiem, czarodziejem uśmiechniętym pobudzić wyobraźnię, fantastycznym bajazem opowiadającym o czarodziejskich oczerach i wyspach, o sprawach przyrody i nieznanym zwierzętach i mieszkańcach jezior. Był poeta, kiedy mówił o oczach saren, wspaniałych niż oczy najpiękniejszych kobiet, był tragikiem opowiadającym o wdzieraniu się w czasie wiosennych ogwilży tysięcy ton lodowych brył na brzegi jezior, o nagłej śmierci drzew ściętych przez te bryły na proszek. Mówił o złotych godowych jeleni, o nieznanym tropach dzików, o mądrości, niemych łabędzi i o tym, że jedynie miłość do przyrody jest trwałą i niezmienną, że ten, kto nie zasnął tego uczucia jest pozabawiony najcenniejszej wartości tego świata jaką jest piękno.

Prelekcja rozpoczęła się o godz. 20. O północy nie chciano wypuścić ze świetlicy zmęczonego prelegenta. Nie zauważono nawet, że przestał padać deszcz. Ludzie w skupieniu słuchali niezwykłego człowieka, który zawiadnął ich wyobraźnią.

MARZYCIEL

Życie Bogusława Domaniewskiego było tak samo niezwykłe jak jego opowieści. W okresie międzywojennym, jako uczeń gimnazjum im. Jana Zamojskiego w Zamościu organizuje wspólnie z profesorem Stefanem Millerem ogród zoologiczny. W ciągu osmioletniej pracy ZOO posiadało zwierzozostan dorównujący największym ogrodom zoologicznym Europy.

W latach trzydziestych wyjeżdża do Turynu, by studiować nauki politechniczne. Specjalizacja: budowa okrętów. Lecz ciągnie go świat, wielka przygoda. Poznaje kapitana „Santa Marii” poszukującego oszczepników do połowów tuńczyków. Domaniewski, były lekkoatleta, egzamin zdał dobrze. Łowiono wówczas tę rybę w nocy, nęcąc ją światłem. Należało w odpowiednim momencie celnie rzucić oszczepem na wzór plemion murzyńskich.

Potem przeniósł się na włoski frachtowiec i pływał do portów afrykańskich przez Kanał Sueski. Frachtowiec w portach południowych stał długo, więc Domaniewski zapuszczał się z aparatem fotograficznym w głąb czarnego lądu. Obserwował. Uczył się. Fotografował. W swojej wędrowce odwiedzał arabskie targowiska, piramidy, Nil, Pustynię Libijską, Aleksandrię, Kongo, Kair, Kenię, włoski murzyński, nadbrzeżne osady rybaczkie, somalijską dżunglę aż do Zanzibaru. Poznał i prze mierzyl Etiopie, Somali, Ugandę, Egipt, Chodźł pieszo, mknął pociągami, jeździł na wielbłądach i słoniach.

Do kraju wraca w 1935 roku i od razu zapisuje się na Uniwersytet Warszawski na kierunek matematyczno-przyrodniczy. Studiuje geografię. Wkrótce jednak zasmakował w zoologii i rozpoczął specjalizację z zakresu ichtiologii. To przybliżyło do morza. A więc znów pływane. rejsy „Lwowem” do Holandii, roczna praktyka w Scheveningen, znów Warszawa, obrona pracy dyplomowej.

W owym czasie Bogusław Domaniewski stawia pierwsze kroki jako nowelista i pisarz. Opisuje pracę marynarzy, rejsy lądów, swoje przygody. W 1939 roku uzyskuje pierwszą nagrodę przyznaną przez Zarząd Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w konkursie im. J. Szareckiego za powieść „Za własnym żagiem”. Następnie wydaje w krótkim czasie drugą książkę „Chłopak z oazy”. Ale nie są to czasy sprzyjające twórczości literackiej. Wybuch wojna. Bogusław Domaniewski jako jeden z pierwszych wstępuje do AK i w lasach pomiędzy Tuszczem a Małkinią prowadzi działalność konspiracyjną. Otrzymuje pracę jako gajowy, co daje mu możliwość swobodnego poruszania się w lasach. W czasie jednej z potyczek z Niemcami zostaje ranny odłamkiem granatu.

Po wojnie zatrzymuje się w Łodzi na ulicy Kopernika, naprzeciw Lecznicy dla Zwierząt, a następnie przenosi się na ulicę Narutowicza do państwa Moniuszków. Ale tu nie może znaleźć dla siebie zajęcia, tęskni za morzem. Więc znów wędruje na Wybrzeże. Po czątkowo pływa jako szyper na statku „Ellen” przystany z Dąbii w ramach pomocy UNNR. Po latach dorabia się własnego kutra rybackiego „STO 11”, a potem „STO 24” i pływa na połow łososi. Lecz, jak wspomina, praca na morzu była niejako sprawą drugorzędną. Naczelnym zadaniem była odbudowa taboru morskiego i samego Wybrzeża. Pracuje dzień i noc, śpi od przypadku do przypadku, jeździ, służy radą, często wykonuje ciężką pracę fizyczną. Poważne zasługi położyl także

przy organizowaniu życia osiedleńczego rybaków i pracowników przemysłu rybackiego na odcinku Stogi — Górki Zachodnie — Górki Wschodnie aż do Splewowa.

W 1954 r. po skontaktowaniu się z Polską Akademią Nauk i Uniwersytetem Warszawskim przyjeżdża do Giżycka, aby zająć się opracowywaniem materiałów dotyczących wędrowki ryb na odcinku wodnym Gdańsk—Giżycko. Od razu też nawiązuje współpracę z TWP i uniwersytetami powstającymi. Obecnie pełni funkcję Inspektora Ochrony Przyrody w rejonie Giżycka.

TWIERDZA

Myśl założenia muzeum i ogrodu zoologicznego w starej pruskiej twierdzy od dawna niepokoiła Bogusława Domaniewskiego, lecz przeszkadzał zarówno brak czasu jak i brak pomocy materialnej. Dopiero gdzieś od roku rozpoczęto mówić o adaptacji potężnego obiektu dla potrzeb przyszłego ZOO. Kierowanie pracami powierzono Domaniewskiemu.

Twierdza, leżąca we wschodniej części miasta, została zbudowana w latach 1843—51 przez marszałka Leopolda Ludwiga Hermana von Boyen, ówczesnego ministra wojny, pochodzącego ze starej rodziny kaszubskiej Bojanów. Twierdza ma kształt pięcioramiennej gwiazdy, której każdy róg jest ogromnym bastionem.

SZYF CZY HERKULES

Bogusław Domaniewski odziedziczył ogromny obszar: obwód murów twierdzy wynosi 4 km. Niszczące działanie czasu oraz zjeżdżający się po wojnie szabrownicy w poważnym stopniu dokonali spustoszeń. Wszystkie podziemia i korytarze zostały zasypane odpadkami i gruzem. Toteż rozpoczynając w maju tego roku prace porządkowe mógł Domaniewski liczyć jedynie na pomoc ludzi dobrej woli. Znalazł ją u młodzieży. Czyny społeczne harcerzy przekroczyły już 100 000 złotych. Ale to za ledwie początek. Dla samego muzeum trzeba oczyścić ponad 400 m.



Andrzej Pukaczewski — „Zmienne kształty”.

drzewkami, rzucił kwiaty na siedzenie, że złościła i tylko mówi „jedziemy”. No, to ja, zapuszczam motor i nawracam, bo przecież nie będę się dytał.

Jedziemy. Ujechaliśmy już spory kawałek, a on nie, tylko pali papierosa i cały aż dygoce.

— Dokąd jedziemy? — pytam.

A on nie — prosto, przed siebie. — I zaraz potem mi powiedział. — Patrz pan, urodziła mi Murzyna! I zaraz się rozplakał. Tośmy tak z dwie godziny po mieście jeździli.

A innym razem to było tak... Stoję na postoju przy Limanowskiego... wie pan gdzie to jest... To było tak koło jedenastej... ale w południe. Ruchu wtedy nie ma... Podeszł do mnie facet, otwiera drzwi, ale cały sa pie... Taki zziębnięty... od razu widzę, że coś jest, bo... kierowca od razu wyczuje. Mówi mi jedźmy szybko i podaje numer domu i ulicę. To było akurat na rogu, więc ja mu mówię, że nie mogę tam

stanać, bo jest zakaz postoju... A on wtedy, stawaj pan bo już kopie! — Kto kopie?

— Pytam się zdumiony... — No żonę kopie... dziecko! Rodzić będzie. — To mów pan tak od razu.

— Zatrzymuję wóz, a tam już w bramie kobieciną czekają. Obok sąsiadki. Jak tylko usiadła, to ja na sygnał i do szpitala na Curie-Skłodowskiej. Zapaliłem światła i już pruję osiemdziesiątką. Ale już czuję, że się tam z tyłu coś dzieje, bo słyszę jęki... no wie pan... Gdy przyjechałem to już dziecko się urodziło. Trzeba było kobietę brać na nosze, no i do szpitala...

Ale to nie panie... Ten gość zapłacił mi, zapamiętałem bo miał taką szramę na twarzy jakby z wojny... i co pan powie na to? Wieczorem już tak po dwunastej zjeżdżam do domu, a tu mnie łapie gość. — Wolny? — Wolny! Wsiada z jakąś kobietą. Oboje podchmieleni...

Gadają, śmieją się... no i te rzeczy... o których się nie mówi... I wie pan, gdzie jechałem, i kto to był ten gość? Jechałem do tego domu i to był ten mąż, któremu żona

urodziła dziecko... A on jeszcze tego samego dnia z inną poszedł do łózka... Widział pan kiedy taki traf... Żeby jechać tą samą taksówką. On chyba mnie też poznał, bo ka zał zatrzymać wóz trochę dalej i dopiero jak odjechałem, zaczął tę kobietę holować na górę.

Na taksówce, jak kto chce to się szybko zjadaczy... Jak ktoś chce... bo okazja, okazję goni. Weź pan taki przykład. Jadę. Wsiada taka pani... eleganka, nie powiem, ma z 35 lat. Jeździ po całym mieście. Wsiada z dużą paczką. Położyła ją na tylnym siedzeniu. Zatrzymujemy się przed „Delikatesami”, ona wychodzi z siatki, kupuje winiak, angelkę, sardynki, takie jakieś rzeczy do jedzenia... ale potem już siada koło mnie i tak uśmiecha się, podgaduje, wreszcie pyta czy jadłem śniadanie, czy nie jestem głodny... bo może wpadłbym do niej na chwilkę, a może mam ochotę na kiełbiskę koniaczku. Nie jestem głupi, wiem o co chodzi, więc grzecznie mówię że nie, daię-

kuję, a ona mi nawija dalej. A to, że sama mieszka, że dziś ma wolne, że wreszcie bomba pęka i ona mi wali, że chciałaby bym jej zrobić dziecko, że ona męża nie chce, ale dziecko to chce mieć, a ja jej się podobam. No to ja — że ja mam żonę, dzieci, że dziękuję, niech sobie szuka innego. A licznik przez cały czas bije... Wy stuknęło już ponad setkę. Ona mówi bym się zatrzymał przed „Uniwersalem”, bo chce jeszcze coś kupić. Proszę bardzo... mówię niech pani idzie. Wiem, że mi nigdzie nie ucieknę, bo na tylnym siedzeniu leży ta duża paczka.

Czekam godzinę, dwie licznik bije, a jej nie ma. Jadę więc do domu, rozpakowuję paczkę, a ona w środku pusta... nie nic ma... Znaczą się, że ona już ten numer przygotowała, obmyśliła. Jakbym poszedł z nią to by nie zapłaciła... no tak? A jak nie chciałem to i tak zrobiła mnie w konia...

Ale to i tak lepiej, bo tu jeździ kilku takich, którzy za taką przyjemność, miesiąc w miesiąc osiem stów płacą...

Ten nóż, to mam na pamiętkę... majcher jak się patrzy... a miał być w moich plecach. To było w Sylwestra... Z Dworca Fabrycznego z postaju wzięło mnie takie towarzystwo, może po piwku... ale trzeźwe, nie pijane. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Taksówkarz, który jeździł tyle lat co ja, to od razu wie z kim jedzie. Wy starszy spojrzę na twarz, jak kto wsiada, nawet jak mówi adres i już się wie z kim się ma przyjemność. Oni kazali się wjechać na Rudę jeszcze za stawy Stefańskiego... A to już był wieczór, taksówkarz brak, ale myślę sobie, nawet dobrze się trafiło, bo z Rudy zaraz mnie ktoś złapie. Jedziemy. Patrzę na niego w lusterko i coś mnie tknęło... Człowiek nie wie, skąd się to bierze, ale wyczułem, że coś jest nie w porządku. Bo jak minęliśmy tylko Kolej Obwodową, to oni jakby zaczęli mrużać i nagle w wozie zrobiła się jakaś dziwna atmosfera, dają słowo, jak z Hitchcocka.

Skręcamy... a ja już myślę

cały czas jakby tu im umknąć. Więc lekko kluczykiem wylącam motor... drugi raz... trzeci, wreszcie, gdy już mamy zbliżyć się do lasu, mówię im. „Panowie nie da rady musicie popchnąć, bo dalej nie pojedziemy”. No to oni z tą kobietą wysiedli i pchają. A ja wtedy cały gaz do dechy i kita... Jeszcze jeden z nich złapał za kłamek, uwiesił się, chciał wskoczyć do wozu, ale się przewrócił... Słyszałem jak krzyżeli, bluznili za mną, że mi się udało. Ja z tego strachu jechałem z kilka kilometrów zanim się zatrzymałem. Wychodzę z wozu, patrzę na tylnie siedzenie, a tam wleknęty między tylne siedzenie, a opancie leży ten nóż.

Panie, na taksówce, wszystkich się pan dowie. Bo taksa, panie, to samo życie. Taki magiel na czterech kółkach. Cheesz pan wiedzieć co w trawie piszczy, idź pan na postój i zafunduj pan sobie kurs po Łodzi... Mówię panu nie pożałuje pan...

Nurt

Nurt znalazł się w naszym domu przypadkowo. Pewna pacjentka zadowolona z kuracji przyprowadziła w prezencie wilczka — 8-miesięcznego szczeniaka z nazwiskiem i w pełni ukształtowanym psim charakterem.

Z karty rodowodowej wynikało, że Nurt jest synem zasłużonej wilczycy, która zjadła — jak się to mówi — zęby na służbie państwowej. Przeniesiona na zasłużoną emeryturę nie zapomniała o swoich obowiązkach wobec państwa i ludzi i sama nauczyła Nurta wielu rzeczy, które jej zdaniem umieć powinien, a które dla niej były chlebem powszednim.

Pomimo swego młodego wieku Nurt umiał już tropić, czułać się, pokonywać różne przeszkody, panować nad łakomstwem (brał pożywienie tylko z lewej ręki). Był to niewątpliwie psi fenomen, tym dziwniejszy, że wychowany całkowicie przez psa społecznika.

Byłem zły na pacjentkę. Zdawałem sobie sprawę z kłopotu, który wpuściłem do domu jeśli przyjmie my prezent. Energicznie, niezbyt panując nad sobą, wyraziłem swój sprzeciw. Nurt aż przysiadł zdziwiony moim podniesionym głosem. Spojrzał łobuzersko na moją żonę i dzieci, zamerdał ogonem i zniecieruchiał.

Odwoluje się do nich bezczelny pies — pomyślałem — gdyby był taki mądry jak pani mój, wiedziałby kto jest głową domu i komu przede wszystkim należy merdać ogonem. Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale przerwała mi Hania, córka. — Tata, głosujemy.

Przypominam wam, że jako przewodniczący tej społeczności mam trzy głosy, a w przypadku równej ilości moje na wierzchu.

Tę formę demokratycznych rządów wprowadziłem w domu już od dawna. Chciałem wychować dzieci na świadomych obywateli i w związku z tym umożliwić im od wczesnego dzieciństwa uczestniczenie w naszym życiu domowym, czyniąc je współodpowiedzialne za podejmowane w domu decyzje. Ta forma demokracji nie zbyt im odpowiadała, ale chroniła mnie przed utratą twarzy, co uważałem za jej największą zaletę. Pewny swego zgodziłem się na głosowanie.

— Protestuję! — zawołałem odstepując nieco w bok czyniąc miejsce obok siebie dla ewentualnego sojusznika. Nurt zniecieruchiał ponownie. Spojrzał na Hanię, która namiętnie wyszeptala: „Jestem za Nurtem”, merdnął ogonem i patrzył teraz z uwagą na Andrzeja. Andrzej był bardzo do mnie przywiązany, byłem pewny jego głosu, wahał się tylko ułamek sekundy „i ja” — powiedział mocno. Spojrzałem na żonę. „Jestem za Nurtem”.

— Trzy do trzech — moje na wierzchu, przegraliście. Wtem Nurt szczerknął na mnie i polaszył do Hani.

— Cztery do trzech — przegrał tata.

— On się nie liczy, nie ma jeszcze praw obywatelskich.

— Przepraszam, tu chodzi o jego przyszłość, a o tej, jak nas zawsze uczyłeś, nie należy decydować bez udziału zainteresowanego.

Była to moja pierwsza przegrana w głosowaniu, którego zasady sam sformulowałem i z których nie mogłem się, niestety, wycofać.

— Dobrze, przynajmniej przegrałem, ale troska o psa spada na was. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Aha, tum was dostał, opozycjoniści. Ale nikt już nie słuchał moich dalszych wywodów.

— Nareszcie będzie w domu ktoś, kto głośniejszy krzyczy od ta-

ty! — zawołała uradowana Hania i pobiegła za Nurtem, który również uważał chyba sprawę za załatwioną, bo z uwagą obwąchiwał mieszkanie, myszując po kątach, trącając nosem zaawakli Hani i Andrzeja.

Dzieci zamknęły się w swoim pokoju i tylko od czasu do czasu ochochdził mnie ich głos.

— Nurt zobacz, to jest moja lalka. — Nurt, siad. — Nurt, daj łapę.

Będę musiał zmienić zasady głosowania. Od dziś przyznaję sobie jako przewodniczący cztery głosy, a w przypadku równości moje na wierzchu.

— Zmiany konstytucyjne nie mogą być dokonywane drogą samowolnych dekretów. Jeżeli cnciesz, możemy poddać pod głosowanie twój projekt — odpowiedziała żona.

— Proszę bardzo, zobaczymy czy wasz głupi pies, niepełnoletni w dodatku, uratuje was tym razem.

Niestety, drugie głosowanie przegrałem także i w ten sposób przestałem być głową domu. Nurt wie dział doskonale, kto tu rządził i po czyje należy stanąć stronie.

W ciągu osmiu lat, jakie od tego dnia upłynęły, Nurt zmęśniał, wyrosł i stał się pełnoprawnym członkiem rodziny. Wymuszając niekiedy w sposób wręcz niedemokratyczny decyzje, które były miłe jego psim tęsknotom. Odpłacał nam ogromnym przywiązaniem, radością, której nie ukrywał, kiedy wracaliśmy do domu. Po skarceniu niekiedy niesłusznym, nie chował jak to ludzie czynią urazy, a przeciwnie zapomniał o niej natychmiast. Pod tym względem był niezwykle wyrozumiały i tym niewątpliwie ludzi przewyższał, uwalniając jakże często dzieci i mnie od upokarzającego poczucia winy.

Po przyjeździe ze spaceru próbowałem mu wycierać łapy. Nie lubił tego. Któregoś dnia przed wejściem do mieszkania, widząc że wycieram nogi, pobiegł na czwartą piętro i wrócił na parter pod nasze drzwi, merdając z zadowoleniem ogonem. Zrozumiałem go w lot: „ty wycierasz nogi, a ja otrzepałem się z kurzu, biegnąc tam i z powrotem” zdawał się mówić. Wobec czego nie wytarłem mu łap i tak już zostało.

Do gości odnosił się obojętnie. Nie przyjmował od nich nic, nawet pieczęt, które tak lubił i których nigdy nie szczędził mu domownicy.

Gospoście traktował z góry i nie pozwalał jej nawet na najłagodniejsze skarcenie, drobną wymówkę z jej strony: „Nurt, znowu zwinął dywan” uważał za obrazę i groźnię na nią warczał, wyganiając ją czym prędzej do kuchni.

Od jego przyjeźścia do domu zmieniło się u nas wiele. Podniesienie głosu uważał na niegodną psa awanturę, natychmiast stawał po między zwaśnionymi stronami, warczał ostrzegawczo.

Wszelkie wymówki musiałem odtąd kierować do dzieci w formie wyszukanej grzeczności, tak aby ten wściekły, głupi pies nie zorientował się o co chodził, tak abym mógł powiedzieć co myślę, o ich postępowaniu nie narażając się na śmieszność. Dobrowolnie więc wybrałem formę wersalską, by uniknąć kompromitacji i nie być zmuszonym do rejterady. Drań bowiem nie bał się niczego, nawet kija w moim ręku. Tolerował go tylko wtedy kiedy sam zwinął. Ale wobec tego, że zajmował tak jasne stanowisko, kiedy chodziło o winę cudzą, a z drugiej strony nadstawał grzbiety gdy sam był winien, ten rodzaj argumentów znikł z naszego domu. Tak, tak wychowywał nas bez bicia i chyba wychował sobie dobrych właścicieli, bo zdawał się być z nas zadowolony.

Powiedziałem, że niczego się nie bał. Przesadziłem. Nurt bał się panicznie karpia w wannie.

Do łazienki wchodziło się z korytarza. Otóż kiedy były karpie, Nurt tak dalece czuł do nich niechęć, że ocierał się o przeciwną ścianę, byle być jak najdalej od tego pływającego świnstwa, na nic nie zdaly się tłumaczenia, pokazywania, nie lubił ryb. Brzydził się nimi, a żywych bał się straszliwie.

Był tak mądry, że znał nawet podział miesiąca na tygodnie i nieomylnie wiedział, kiedy jest niedziela. Wstawał wtedy wcześniej, budził domowników, ściągając z nich kołdry i nie uspokajał się dopóki nie wpuszczono go do samochodu, w którym mógł nawet parę godzin czekać na wyjazd do domku na wsi.

Domem ten w spadku po rodzicach, stojący z dała od wsi zachowaliśmy na letni i zimowy wypoczynek. Służył nam doskonale, ale najbardziej przypadł do gustu Nurtowi, który dopiero tu czuł się panem nad panami, uganiał się po polach, niszcząc siana zastawione przez kłusowników, wyjmując z nich zwierzynek, lub jeśli siana były puste sobie tylko wiadomym sposobem umiał je unieszkodliwić. Lesniczy, który kiedyś zdybał go przy takiej niszczy cielskiej działalności uważał go niemal za swego sojusznika.

Lato w zeszłym roku było upalne. Noce ciepłe, Andrzej wrócił ze studium na wakacje i oczywiście wyjechaliśmy na wies. Nurt szalał ze szczęścia. Nie odstępował Andrzeja, z którym nie widział się prawie dwa miesiące. Tej nocy Andrzeja było w domu za gorąco, wobec czego rozbił w ogrodzie namiot i postanowił w nim przenocować. Nurt oczywiście pozostał przy nim. W nocy obudziło Andrzeja dziwne tupanie i złowrogie warczenie Nurta. Chwył latarkę, zaświecił i wybiegł przed namiot. Nurt stał przy wejściu, a parę metrów dalej, na skrzyni siedział lis. Nurt trącił Andrzeja zadem i pobiegł w stronę domu. Zatrzymał się, zobaczył, że Andrzej stoi, wrócił i ponowił próbę.

— Nurt, bierz go! — zawołał Andrzej. Ale Nurt warknął coś niezrozumiałe i ani drgnął. — Bierz go! — krzyknął zdenerwowany. Nurt zjeżył się i nie usłuchał rozkazu. Tego było Andrzeja za dużo.

— Ty tchórz! — krzyknął i zaświecił listowi w oczy. W tym momencie lis skoczył na Andrzeja. Ale Nurt jakimś cudownym rzutem przeciął mu drogę, w powietrzu chwycił potężnymi szczękami, potrzaskał i opuścił martwego na ziemię, skomląc żałośnie na Andrzeja. Andrzej wziął lisa, położył na skrzyni i powrócił z niecierpliwie przywołującym go Nurtem do domu.

Nie mogłem zasnąć. Co się stało — myślałem. — Dlaczego Nurt nie atakował? Im bliżej było rana tym mój niepokój wzrastał. Andrzej niesłuszenie nazwał Nurta tchórzem. Nurt po prostu wiedział o czymś, czego my nie wiedzieliśmy.

Rano, po śniadaniu, wrzuciłem lisa do bagażnika i pojechałem do miasta. Opowiedziałem w zakładzie weterynarii o zajściu i poprosiłem o analizę. Wiadomość przyszła za dwa dni. Lis był chory na wściekliznę. Wszyscy, którzy się z nim zetknęli muszą poddać się kuracji zapobiegawczej. Teraz dopiero zdaliśmy sobie sprawę z tego co się stało. Wzięliśmy pierwszą serię zastrzyków. Nurt zniósł ją lepiej od nas. Ale już następnego dnia otrzymaliśmy za wiadomienie o konieczności uspieńcia psa. Pojechałem do miasta i wyprosiłem tyje, że zgodzono się na zachowanie Nurta przy życiu, o ile przez dwa miesiące będzie w zupełnej izolacji, na uwięzi i przejdzie tę samą kurację co i my. Minął tydzień wzajemnej udręki, Nurt cierpiał podwójnie. Nigdy nie trzymano go na uwięzi, ale nie skarżył się. Patrzył tylko na nas dziwnie mądrze i tak jakos smutno.

Nadeszła druga wiadomość. Psa należy izolować na przeciąg sześciu miesięcy. Pomieszczenie należy otoczyć wysoką siatką, tak by nikt nie mógł się do psa zbliżyć, ani go dotknąć.

Kupiłem siatkę, ogrodziłem psa, który coraz smutniej patrzył na topniejącą wolność. Kiedy już i te prace wykonałem otrzymałem list ostatni i ostateczny zarazem. Pełna izolacja musi potrwać dwa lata, a i po tym okresie nie ma gwarancji, że wścieklizna nie wróci, wobec czego należy psa uspić. Dwa lata cierpień i żadnej pewności, żadnej nadziei. Przecież Nurt tego nie rozumie. Od ostatniej decyzji nie było odwołania, przyszła aż z Warszawy.

Nikt nie spał tej nocy w domu. Andrzej płakał, płakała Hania, a nawet ja, choć starałem się jak mogłem panować nad sobą. Czy to nie potworne — myślałem — zabić psa, który uratował życie Andrzeja. Zabić go za to, że był od niego mądrzejszy, że wiedział, co mu grozi. Wszystko się we mnie buntowało. Miałem żal, do pani, która Nurta do nas przyprowadziła, i byłem jej wdzięczny, bo dzięki niej Andrzej wyszedł z tej opresji cało. Gardziłem ludzkim egoizmem i musiałem się z nim godzić. I tak przez całą noc, wciąż jedno i to samo,

a z każdą chwilą bliżej było rana i Nurt stawał mi się coraz bliższy, jak człowiek prawie, jak najlepszy przyjaciel, z którym się wiele przeszło i który nigdy nie zawiodł. Wszedło słońce. Zrobiłem Nurta śniadanie, jak skazańcowi, tylko to, co lubił najbardziej. Cóż za cyniczny oszust za mnie — myślałem — bezwzględny, okrutny jak człowiek. Od tej uczty pogrzebowej, gotowanego z celebrą pożegnania, oderwało mnie pukanie leśniczego. Wszedł do kuchni, spojrzął na mnie, Andrzej rozbeczał się głośno, Hania uciekla do swego pokoju. — To przeze mnie, to przeze mnie, to ja jestem temu winien! — zawołał i wybiegł za Hanią. Wyszedłem z kuchni, a za mną leśniczy. Zdał fuzję, nienawidziłem go w tej chwili. Leśniczy obszedł klatkę Nurta i stanął nieco z boku. — Nurt! — zawołałem. Wyczołgał się ufnie z budy, uradowany zamer-

dał ogonem jak nigdy. — Zaraz cię wypuszczę, polecisz na zajęcia, będziesz gonil po polach, wiecznie zielonych, pełnych... Huknął strzał. Oczy Nurta zgasiły jak dwie świece nagłe stłamszone. Wróciłem do kuchni bez słowa. Przede mną na misce pachniało ostatnie śniadanie Nurta. Tylko to, co najbardziej lubił. Chwyliłem miskę i usiadłem. Za późno. Już za późno. Już mu nie nie potrzeba. Jak to dobrze, że żona wyjechała do Krakowa tuż przed wypadkiem. Nagle przeraziła mnie cisza panująca w domu. Zerwałem się i wbiegłem do pokoju dzieci. Stały pod ścianą, objęte żę z przerażenia. Jak martwe, jak uwięzione na płótnie dzieci zakładników. — Placzie! — krzyknąłem — placzie! — Zaczęłam nimi potrzasać, szarpać. — Placzie!

Pierwsza ożyła Hania, a dopiero po chwili Andrzej.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Wizyta u doktora

Rumoczą szczeble schodów, kobał w sęku bzyka. Laudetur, czy zastalem księdza Kopernika? Chce, żeby mi przypisał miód z konwali kwiatu — Rozbolała mnie głowa od bezładu świata.

Wszakże jest tu, wpisany w powierzchnię kwadratu, We wnękach kufy okien, gdzie gwiazdy zamyka. Jegoż fotel z jabłonią i wiązką granatów I Lichtarz, skąd zbiegł płomień i w sęku wciął bzyka.

Może odszedł za strumień, by nałowić raków? Lub leczy smoki rynien, bo krwawi plują z dachu? Widziałem, jak tu kłęczą i z nocą się bratał...

Odszepnęły parszywe zwierzęta Zodiaku: Wyszedł, aby przyłożyć na skroń okład z piachu: Rozbolała go głowa od porządku świata.

Frombork 1970

Raszyn

Huczą działa z grzędzawisk jak głuche trąbity. Umarłych, kiedy walczą, iatwo wziąć za chmury. Obok willi — plandeką wieczoru nakrytych — Prą na przebój — targ jutro — badylarskie fury.

Książę galant z bagnetem. Za nim róż, błękity Obszlegów. Cała szklarnia. Przez niebo z grawiury. Dymią stare kalibry. Blues dla pani Zyty: Wygranej w totolotka życzą wdzięczne córny.

Pasażery diamentem krają na krzyż błękit. Płnik stabilizacji w panoplii na ramie... Lecz w każdym pokoleniu podświadoma pamięć

Podyktuje bez pudła, jak brać broń do ręki I kolejny swój bagnet wyprowadzić w chmury... Dziwne niebo — na zebrach słońca i wichury,



Rys. E. Ingłot



LIRYCZNE DIALOGI
ZE SZPIEGIEM

Z mieszanyimi uczuciami sięgnęłam po jedną z ostatnich książek wydawnictwa MON, której autorem jest Zdzisław S. Pietras, a tytuł brzmi: „Ula i ty, Bernardzie”. Może trochę dla tego, że okładka jest komiksowo tandetna i brzydka, może dlatego, że nieco zastanawia pretensjonalny tytuł. Ale informacja na obwolucie uspokoiła moje obawy. Książkę Pietrasa przedstawił w sposób wiele zachęcający. Cytuje: „W nowej powieści Zdzisława S. Pietrasa niezwykle przygodą splatają się z miłością, szpiegowskie machinacje z pełnymi lirycznymi dialogami Pawła z Ulą i Bernardem, niebezpieczne sytuacje z pogodnymi obrazami przeżyć dwojga zakochanych, a wszystko to ujęte jest w ciekawą i atrakcyjną formę”. Po przeczytaniu ostatniej strony książki mogę uczucie stwierdzić: — przygody rzeczywiście splatają się z miłością, ale tych przygód tak wiele znowu nie ma i nie takie one ciekawe, jakby się chciało, szpiegowskie machinacje Bernarda są, dla logi Pawła z Ulą są, ale zastanawiałabym się nad określeniem ich jako „pełnych liryzmu”, tychże „lirycznych dialogów” Pawła z Bernardem nie zauważyłam, a owa ciekawa i atrakcyjna forma to monolog autora, mówiony do drugiej osoby, czyli do Bernarda, która to forma może nie zrazić tylko w wyjątkowo dobrej, artystycznej prozie. A taką prozą Zdzisława S. Pietrasa nie jest. Zresztą i sam autor zaplątał się w pewnym momencie w tym gramatycznym pomieszaniu osób i czasów, co złośliwy czytelnik odnotuje z satysfakcją. A kiedy już zamknęłam książkę Zdzisława S. Pietrasa, zaczęłam się zastanawiać, kogo ona ucieszy i dla jakiego czytelnika jest przeznaczona. Jeśli nawet dla młodzieży, to tym bardziej nie ma

usprawiedliwienia na pretensjonalność formy, powierzchowność obserwacji i nikłe zdolności budowania intrygi, która mogłaby zainteresować. Co przecież jest nieodzowne w powieści szpiegowskiej wydanej w 20-tysięcznym nakładzie. Na obwolucie z tyłu książki widnieje niebieskawy rewolwer na fioletowym tle. Z lufy dymi czarna chmurka. Oj, chciałoby się strzelić!

Zdzisław S. Pietras, „Ula i ty, Bernardzie”, MON, W-wa 1970, str. 167, cena zł. 11.—

WSPÓŁCZESNA PROZA
CZESKA

W serii PIW „Proza współczesna” ukazała się powieść Ladislava Fuksa pod oryginalnym tytułem „Wariacje na najniższej strunie”. Fuks, z wykształcenia filozof i psycholog, należy do najbardziej znanych i cenionych współczesnych pisarzy czeskich. Rozgłos światowy przyniosła mu już jego pierwsza książka wydana w roku 1963 i tłumaczona również na język polski — „Pan Teodor Mondstock”. „Wariacje na najniższej strunie” — to właściwie powieść autobiograficzna. Fuks snuje opowieść o chłopięcych latach bohatera, które przypadły na znamieny w historii Europy okres lat trzydziestych, po przedzając wybuch drugiej wojny światowej. Niewielki jest realny świat małego bohatera — rodzice, kuzyni, ciotki, siostra Różenka i sąsiedzi. Może dlatego chłopiec, niezwykle wrażliwy i obdarzony bujną fantazją, zaludnia go postaciami wyimaginowanymi. Michał rozmawia nagle z ukazującymi się dziwnymi ludźmi, widzi ich siedzących przy stole, zmarła babka wychodzi z portretu i pilnuje swojego pokoju. Trudno powiedzieć, czy w powieści Fuksa więcej jest świata rzeczywistego, czy więcej fantazji i nierealności. Nie znaczy to jednak, że nie dotarły do niej echa ówczesnych wydarzeń.

Melodyjna, urzekająca swoją poezją proza „Wariacje na najniższej strunie” potwierdza w pełni wysoką rangę artystyczną Ladislava Fuksa.

(B. M.)

Ladislav Fuks, „Wariacje na najniższej strunie”, PIW, W-wa 1970, str. 389, cena zł. 30.—

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Iwaszkiewicza przygoda poetycka

Ksenia w języku greckim oznacza gościnność. Epigramatyk łaciński z I w.n.e., Marcjalis, umieszczał na podarkach rozdawanych w czasach Saturnaliów epigramy, których cykl nosił nazwę „Xenia” (Podarki). W siedemnastym wieku późnej Goethe i Schiller w „Almanachu Muz” (1797 r.) publikowali dystychy skierowane przeciw pisarzom i współczesnym im modom literackim. Opatrzonym były tytułem, utrzymanym w duchu ironii romantycznej. „Zahme Xenien”. Wywołały one żywą reakcję wśród literackich pe-dantów; nazywano je burzą, która jakoby „miała oczyścić duszną atmosferę umysłową ze szkodliwych wyiewów”. W roku 1970, kiedy spór toczą strukturaliści ze zwolennikami mody genetycznej, neoklasycy z lingwistycznymi poetami, kiedy nie ustają akademickie dyskusje na temat, czy język jest odpowiednikiem rzeczy, polski poeta, Jarosław Iwaszkiewicz, publikuje tom wierszy „Xenie i elegie”.

Przeciwko komu skierowana są te wiersze, jeśli adresat nie został wyodrębniony? Czy można określić je mianem „kaśliwych podarków”, skoro poeta w jednym z nich pisze

„Nie kłękaj daj rękę
pocałujmy się
pocałunkiem pokoju

I ton takowy jest leitmotiwem całego zbioru? Nie znajdziemy wszakże żadnej formuły filozoficznej dla światopoglądu poetyckiego Iwaszkiewicza. Nie mieści się on również w dotychczasowych kryteriach ocen, jakie stosowano wobec jego poetyki, a przecież trudno uznać autora „Dionizyj” za poetę awangardowego. Może stwierdzenia paradoksalne oddadzą najlepiej istotę tej liryki, ale zapewne w pełni nie zilustrują stanu faktycznego, bo „Xenie i elegie” przemawiają do czytelnika urzekającą prostotą, bezpośredniością i tematem „spowiedzi lirycznej”, którą w zupełności można podnieść do

rangi wielkiej odwagi, jeśli weźmie się pod uwagę powszechnie panujący we współczesnej poezji „wstyd uczuć”.

W ostatnim dziesięcioleciu liryka Iwaszkiewicza zaczęła ulegać interesującym przeobrażeniom, znamionującym się wyraźnym dążeniem do prostoty przy maksymalnej oszczędności w stosowaniu figur stylistycznych. Nie było to i nie jest świadomie z góry narzuconą koncepcją poetycką. Ewolucję tę już zapowiadał tom „Jutro żniwa”, dalszą kryształizację nowej poetyki można było dostrzec w „Kragłym roku”, a wreszcie „Xenie i elegie” stanowią ukoronowanie tej nowej przygody poetyckiej. Iwaszkiewicz w dawniejszych tomkach zdradzał sympatie do estetyzowania, ale nie ezoterycznego, na życie patrzył poprzez estetykę lub odwrotnie. Stąd poezja jego nie traciła żywego kontaktu z rzeczywistością pomimo wyraźnej artystowskiej piętnej. Robiła wrażenie, przynajmniej na mnie, liryki korespondującej z estetyką francuską drugiej połowy XIX stulecia. Z czasem do głosu zaczęły dochodzić racje poezji artystycznej, zwłaszcza psychologiczne i etyczne. W ten sposób właściwym twórcą poezji stawało się samo życie, którego rejestratorem był poeta; miejsce doświadczenia literackiego poczęło zajmować doświadczenie życiowe.

Tom otwiera zwarty kompozycyjnie i tematycznie cykl „Okno i drzewo”, w którym następuje panteistyczne pojednanie poety z naturą, scalenie Wszechbytu wobec przecucia dramatu śmierci, zagrożenia ze strony niebytu. Nie ma to nie wspólnego z młodopolską metafizyką, dramatem był — nieco rozgrywa się nie na płaszczyźnie abstrakcyjnej, nie ma w tej liryce agresywnej zachłanności i wdzierania się na obszar niebytu. Sensualizm dominuje w każdym wierszu, jest on zasadniczym sprawdzianem rzeczywistości życia. W obliczu śmierci potęguje się energia ży-

ciowa, dąży do uniwersalnego pojednania żywiołów. Metafizyka ma tu rzadko spotykany wymiar; główny dramat dzieje się między bytem ludzkim a żywą naturą oraz w tonie samego bytu. To „między” jest niepokojem, w którym poeta znajduje ład, symetrię, doskonałość. Całość utrzymana jest w tonie elegijnym, ale nie ma w niej nic z pesymizmu. „Okno i drzewo” to pesymizm optymistyczny i zarazem optymizm pesymistyczny.

Cykl tytułowy, bardziej zróżnicowany od poprzedniego, jest żywym zapisem powszedniej codzienności, zapisem, w którym zacierają się granice między życiem a literaturą. Refleksja góruje nad impresyjnymi doznaniem i podobnie jak w „Oknie i drzewie” Iwaszkiewicz dąży do scalenia przeciwieństw, do klarownej interpretacji trudnych przeżyć i myśli, by w końcu po wiedzieć

Wspaniałe jest
nasze wielkie
rozpogodzenie

W gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do harmonii Psyche i Physis, harmonii, która w swojej doskonałości jest jednocześnie tragiczną, bo gdy sięgnąć głębiej, to jest tylko okrutna samotność, samotność wobec czego? ludzi? niebytu? wszechświata? Wiersz to wyraził, ale nie da odpowiedzi:

Arrasem wiszą na okiennej
ramie
pozłacane liście brzoź

Jak w głąb owocu
schodzę w siebie

potem się zacznie
gwiazdozobranie
pełne kosze planet i róż

I wycie do miesięcznej
nocy
i moje
i tego psa

(WIECZÓR JESIENNY)

Nie tyle świadomość, ile poczucie jedni było cechą charakterystyczną dla twórcy „Fausta”. Nie bez powodu wspominałem o Goethem, gdyż wiele można znaleźć podobieństw między Olimpijczykiem z Weimaru a poetą Iwaszkiewicza, który z tak doskonałym zrozumieniem „wyłożył” istotę osobowości swego protoplasty literackiego w „Grobie Augusta Goethego”. Nawet systemem wersyfikacyjnym i moralistycznym zabarwieniem „Hymni trium puerorum” przypomina niektóre wiersze-talizmany z „Dywanu Wschodu i Zachodu”. Również światopogląd poetycki

Iwaszkiewicza ukształtował się, podobnie jak Goethego, na gruncie bezpośrednich przeżyć i kontemplacji Natury. Osiągnięcie doskonałości w prostocie i prostoty w doskonałości jest ewenementem na tle poezji często kroć niepotrzebnie zawilej, hermetycznej i mało po-znawczej. „Xenie i elegie” są podarunkiem dla tych, których droga do prostoty jeszcze daleka.

Tomik ów jest niezwykle ważną częścią autobiografii poetyckiej Iwaszkiewicza. W wierszu „Doskonałość”, który nosi podtytuł „wiersz japoński”, sam najlepiej tłumaczy swoją postawę twórczą. Podtytuł jest tu istotnym przypisem do tekstu. Ow wiersz można rozumieć dwojako i zarazem każda z tych interpretacji jest bliska prawdę. Otóż u źródła poezji japońskiej tkwiły próby zapisu rytmicznych ciągów dźwiękowych, synonimi zujących rytm życia. Właśnie poezja Iwaszkiewicza pełni podobną rolę. Z drugiej strony wiemy, że średniowieczne antologie japońskie skomponowane były na zasadzie pleionki: prozy i wierszy. U Iwaszkiewicza proza i poezja nawzajem się uzupełniają, co sam twórca uważa za rzecz naturalną:

Śmieją się ze mnie
że ja jak kalendarz
ciągle pory roku
miesiące

• • • • •
Nie śmiećcie się

bo w zwyczajnej plecionce
wszystkich odmiann
tai się przecucie
doskonałości

Poczucie jedni i harmonii tego świata nieobecne było Iwaszkiewiczowi przed pięćdziesięciu laty w „Oktostychach” i „Dionizjach”. Wynikało ono z młodzieńczej intuicji, teraz jest rezultatem długiego życia i wielkiego zrozumienia.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ,
Xenie i elegie, Czytelnik, Warszawa 1970, s. 52 plus 4 nb.



Przeszłość i teraźniejszość

Nieczęsto dane jest nauczycielowi przeprowadzić taki egzamin. Wieloletni wykładowca przedwojennych wyższych uczelni wojskowych płk dypl. Marian Porwit nie uważa się za historyka. Skromnie zwie się komentatorem. Podkreślił to również w tytule książki: „Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku” (Czytelnik 1969). Napiisał ją — jak powiada — „nie tylko dla historii, ale dla wszystkich, którzy wiedzą już dzisiaj, że wojna obronna w 1939 r. nie była do wygrania, lecz nie mogła pogodzić się z tym, że została przegrana nie na miarę sił zbrojnych państwa o trzydziestomilionowej ludności”. M. Porwit postanowił przeprowadzić egzamin publicznie i dlatego sformułował najpierw kryteria, jakimi będzie się posługiwał. Dla egzaminowanych nie mogą one być nowe: to są to podstawowe zasady sztuki wojennej, te same, o których tylekroć mówił autor z katedry w Wyższej Szkole Wojskowej i w innych szkołach.

„Postanowiłem po prostu —

pisze M. Porwit — iść drogą wypróbowaną w praktyce po wojennej wszystkich chyba wojsk, że po każdym ćwiczeniu bojowym, obojętne, czy w terenie z wojskami lub bez nich, czy też na mapie, następuje tzw. omówienie, w trakcie którego kierownik ćwiczenia poddaje analizie postępowanie dowódców jednej ze stron lub obydwu stron i ocenia jego prawidłowość”. Autor nie ma pretensji do historyków, jakże często nie posiadających pełnego wykształcenia wojskowego i bojowego doświadczenia, że unikali oni zazwyczaj prezentowania własnych analiz i ocen działań operacyjnych czy taktycznych. „Jako badacz spraw wojny i walki — powiada — chcę im dopomóc w zakresie sztuki wojennej i w zakresie rzeczywistości pola walki, z pełnym zrozumieniem ciężaru odpowiedzialności dowodzenia na wyższych szczeblach i ciężaru wysiłku bojowego pod ogniem”. M. Porwit pozostaje w kręgu spraw i możliwości takich, jakie istniały wówczas, w 1939 roku, oceniając z punk-

tu widzenia zasad sztuki wojennej prawidłowość podejmowanych decyzji.

W napięciu śledzimy przebieg tego niezwykle egzaminu. Zepchnięcie od 1928 roku szefa sztabu i jego współpracowników do roli „pomocników w zakresie wykonawczych zagadnień rozkazodaw-

czego generala Gamelina liczył na natychmiastowe współdziałanie polskich sił zbrojnych jeśli główny wysiłek Niemiec skieruje się przeciw Francji, że natomiast wymigiwał się od konkretnych zobowiązań jeśli główne siły Niemiec uderzą na Polskę. Wiedział również, że Francja pozostawiła

pod koniec lutego 1939 r. Spojrząno groźbie w oczy, gdy pa dla Czechostowacja, gdy łada moment Hitler miał ponowić wobec Polski żądania terytorialne, znane ogólnie rządowi polskiemu od października 1938 r. Sformułowanie planu wojny zbiegło się z improwizowaniem osłony i planowaniem operacyjnym. Dopiero w marcu 1939 r. zapadły decyzje strategiczne powzięte przez czynniki państwowe”. Operacyjnego planu „Zachód” z 1939 roku nie wahał się na zwać M. Porwit planem opracowanym „wbrew zasadom sztuki wojennej”. Autor wskazuje, że nawet w ówczesnych warunkach mógł on być zdecydowanie lepszy.

Jest M. Porwit surowym egzaminatorem. Najbardziej ostre słowa padają na kartach jego książki pod adresem Rydza-Smigłego. „Koncepcja planu „Z” łamała się od 1 września. Złamała się definitywnie dnia 5 września, w chwili, gdy utracono swobodę działania na najwyższym szczeblu”. „Pomściła się okrutnie teza o jednoosobowym dowodzeniu. Pomścił się okrutnie, powtarzam z uporem, brak rozprawy ki sztabowej pierwszej fazy działań”. Czyżby obraz, do ja

kiego doszedł autor, zbliżał się do tak niegdyś modnego ultrapesymistycznego poglądu na dzieje tragicznego września? Uważny czytelnik jego książki odpowie na to pytanie przecząco. Mimo wszystko zimny obrachunek autora nie jest jednostronny. Wymowa faktów przemawia na rzecz polskiego oręża. „Gdy przychodzi wyrazić generalny osąd o postawie żołnierza w pierwszych pięciu dniach wojny — pisze M. Porwit — to — w moim przekonaniu — od działań polskie spełniły wiele zadań ponad obiektywne możliwości, wiele w granicach możliwości. Nie było w mocy żołnierza sprostać zadaniom postawionym przez dowódców operacyjnych lub taktycznych wbrew zasadom sztuki wojennej. A takie właśnie zadania kazano oddziałom wykonywać przy odchodzeniu spod Mławy, nad Osą, w Borach Tucholskich, pod Sieradzem, Piotrkowem, Janowem i Pszczyną. Bezsilny staje się żołnierz, gdy oprócz przewagi wroga ma przeciw sobie także błędy własnych dowódców. Na 310 walk — w trzech tyl ko żołnierz zawiódł”.

JÓZEF GRZELAK

1939 — komentarze Mariana Porwita

stwa” prowadziło nieuniknienie do obniżenia kompetencji czynników fachowych w wojsku, co znalazło swoje odbicie w polskich koncepcjach strategicznych. Budzi ostry sprzeciw M. Porwita całkowicie defensywny charakter polskich koncepcji strategicznych a w szczególności przywiązywanie kolosalnej wagi do francuskiej ofensywy przeciw Niemcom w wypadku hitlerowskiego ataku na Polskę. „Wiedział marszałek Rydz-Smigły,

swemu losowi Czechostowację, mimo że stosunki sojusznicze między tymi krajami były przez wszystkie lata bardzo cisłe. Było chyba widoczne, że jak nigdy w historii Francji, jej kierownictwo polityczne i wojskowe przestało wierzyc w własne siły zbrojne”. „Z ciężkim sercem przychodzi stwierdzić — powiada dalej autor — że Sztab Główny otrzymał wytyczne generalnego inspektora odnośnie wojny obronnej z Niemcami

Nazwisko Zygmunta Fijasa przewijało się raz po raz przez karty niezapomnianej książki zbiorowej, poświęconej Krakowowi lat trzydziestych „Cyganerii i polityki” (Wydawnictwo „Czytelnik”). Urodzony w Nowym Sączu, syn robotnika, przyjechał Fijas do wymarzonego Krakowa, by się zapisać na wyższe studia. Od razu zdobył sympatię. Obdarzony fantazją i dowcipem, przekorny i we wszystkim oryginalny, drwiną, odpowiadający na swe materialne i mieszkaniowe kłopoty, Zygmunt Fijas został niebawem członkiem redakcji awangardowego „Naszego Wyrazu”, ofiarne wydawanego przez Helenę Wielowiejską, Kornelę Filipowicz, Ignacego Pika, Władysława Bodnickiego i innych. Mieszkał kątem... „na wale”, jadł byle co, życie traktował jako okazję do zabawy, a jednak umiał się odważnie przyłączyć do siynnej blokady w Domu krakowskiego „Brańniaka”, równocześnie zdobywając rozległą wiedzę w wielu dziedzinach.

Kornel Filipowicz zaświadcza na łamach „Cyganerii i Polityki”, że ten młody Cygan był jedynym współpracownikiem „Naszego Wyrazu”, który potrafił z talentem uprawiać „małe formy” prozy, humoreskę czy nowelę. Piękny portret Fijasa, namalowany przez Henryka Wiercińskiego, zdobi jedną z kart „Cyganerii”. Na innej można znaleźć reprodukcję obrazu Zofii Wielowiejskiej, ukazującego Fijasa z dwójgłosem redaktorów „Naszego Wyrazu”.

Nowosądeczanie, tak dobrze wyobrażający ducha krakowskiej cyganerii, od lat kilkunastu mieszkają w Łodzi. Nie trzeba czytelnikom „Odgłosów” przypominać tego pisarza i jego poprzednich książek. Zna ją je, lubia, rozkoszują się ich oryginalnym dowcipem. Gdy czytamy najnowszą książkę Fijasa, opublikowaną przez Wydawnictwo Łódzkie, odnajdujemy humorystę dobrze rozumiejącego Łódź współczesną; wspomina jednak i dawnego współpracownika „Naszego Wyrazu” czy powojennych pism krakowskich.

W jednym z felietonów, zamieszczonych w tej książce, notuje Fijas zabawne echa pewnych animozji, przeistaczających łodzian „rodowitych” — elementów „napływowych” (z Warszawy czy Małopolski). Równocześnie cała jego książka to dowód, że Łódź stanowi grunt urodzajny, pomyslny, żywny, wartościowy dla tych — którzy drugiemu w Polsce miastu przynoszą nową wartość. Stolica naszego przemysłu tekstylnego, która tyłu sławnych polkich ludzi wydała, jest miastem gościnnym, otwartym, zdolnym do rzeczowej i sprawiedliwej oceny. Może i z tego powodu inny krakowianin, Jan Sztudzynger, tyle znalazł w Łodzi źródeł inspiracji, gdy tutaj na lat kilkanaście osiadł. Może z tego powodu, urodzony w Kieleckiem Jan Koprowski, stał się autorem wiersza pięknie wyrażającego miłość do miasta, które w naszych

oczach tak raptownie się i pomyśli — nie przeobraża. Zygmunt Fijas udowadnia w najnowszej swej książce, że potrafi podpatrywać coraz to nowe zjawiska współczesnego życia; łódzkiego, ale i nie tylko łódzkiego. Humor i dowcip to środki artystyczne, zastraszające jego spojrzenie. Z kolei — bystra obserwacja stanowi ładunek, zapalający race wesołości. Miłość i moda, urzędniczy i młodzieży, święta i praca codzienna, cybernetyka i kombinatorstwo, halasy i „dyngusy” — czegoż w tej książce nie znajdziemy! Pełn jest zjawisk od słania niespodziewane swe strony w tych beztrojskich felietonach. Ma-

WOJCIECH NATANSON

Bogate żniwo Zygmunta Fijasa

to kto tak umiał bystro znaleźć źródła śmiechu w pewnych programach telewizyj, jak to uczynił autor tej książki w felietonie „Telepech”. (Można tę humoreskę zestawiać nawet z opowiadaniem profesora Tutki o niespodziewanych efektach telewizyjnych programów). Oto u Fijasa śliczny opis spektaklu „Niedziela na wsi”: „Jakaś aktorka w wulgiarnej pompowała wodę, aktor doł owęc lub wyciągał wiadro ze studni, podczas gdy byldo tanczenie przechadzało się, rzezało, piło wodę, obliżowało się. Słowem prawdziwa niedziela na wsi. Sielanka, połączona z krowim baletem”. I mu się powiedzie, że złotymi głoskami, wyrzylbym w wielu miejscach publicznych taką oto uwagę Fijasa: „Wszystko można przerobić na chałę. Nawet „Wojnę i pokój”, „Annę Kareninę”, „Lalkę” i „Krzyżaków”. Niektóre z zamieszczonych w tym tomie utworów to rodzaj mini — opowiadań, zabawnie i barwnie zletryzowanych, z ładnie naszkicowanymi sylwetkami. „Małe formy”, które w twórczości Fijasa cenili Fi-

lipowicz już w czasach krakowskich! Chwilami na kilku stronicach mieści się załączek „mikropowiesci”, z zaskakującymi obrotami wydarzeń. Inne utwory mają bardziej felietonowy charakter, gdy np. chodzi o wykpienie ankiet dziennikarskich. Powiedziałbym tylko, że parodie i pastisze (w których tak celuje Witold Zechenter) zdają się gorzej udawać Fijasowi; w tym tomie podobnie mi się tylko „parafraza” humerystyczna „Żywych kamieni” Berenta i młodzieżowo-gazeciarskiego debiutu. Zdaje się, że talent Fijasa, tak oryginalny i swoisty, najlepiej się czuje w swojej własnej, nie pożyczanej (choćby dla zabawy) skórze. W swoich własnych szatach.

Nielatwo określić, na czym ta oryginalność i ten urok polega. Może pomoże nam obserwacja, dotycząca stosunku tego autora do materiału językowego. Fijas, niewątpliwie eru dyta, szperacz i smakosz rozkoszuje się różnymi odcieniami polskiej mowy, grą znaczeń, osobliwościami gramatyki i budowy wyrazów, jej dziwnościami i sekretami. Bawi się nimi, przebiera w nich, pobudza je do nieustannego pulsowania. Miał rację Jan Huszcza gdy pisał w „Twórczości”, że Fijas zespała słowa w wesołe zwroty, powiedzonka i zdania, nadając słowom własny — uzasadniony przebiegiem relacji — sens. Jest to proza oryginalna, Fijasowska!

Huszcza pisał to w 1955 roku. Od tego czasu Fijas jeszcze swój stosunek do języka pogłębił. Bogactwo gwary zaciekało go może już w czasach nowosądeckich i krakowskich. Małopolska jest pod tym względem równie niewyczerpalna jak Mazowsze i Warszawa. Porównanie z mową łodzian podzielało go budząco. Raz po raz bawi się Fijas z ustawieniem zwrotów i wyrażen różnych regionów.

Otóż owo kolekcjonerstwo, owa wirtuozeria słowa, ów coraz nowy smak różnych odcieni znaczeń odzwierciedlają w pewnym stopniu osobowość pisarza. Jest on miłośnikiem i wielbicielem życia. Optymistą w najlepszym sensie tego słowa. Filozofem — poetą, rozumiejącym — że życie z jego wszelkimi perypetiami, mowa ludzka ze swymi śmiesznościami, świat z całą swą bujnością ofiarowanych nam wrażeń, miasta z ich zakamarkami, psychika ludzka z różnymi niespodziankami, kobiecość z jej urokami, uczy z ich smaki kolykami, przyroda ze swymi prawidłościami — wszystko to stanowi skarb, którego powinniśmy i musimy się nauczyć używać. Humor Fijasa nie jest tylko celem dla siebie. To także i sprawa „frudnej” szluki życia, dobrej oceny świata. Miłość istnienia tak samo się dziś wydaje busolą autora, jak nią była za młodych jego lat krakowskich, gdy nie wiedział, gdzie i jak prześpi noc najbliższą.

Zygmunt Fijas: „Twarzą do tyłu”. Wyd. Łódzkie 1970, str. 272.

Ludzie piszą i piszą

Nigdy chyba nie było w naszym kraju tylu piszących co obecnie. Podejrzewam na wet, że teraz więcej ludzi pisze niż czyta, choć wiadomo skądinąd, że pisanie jest zajęciem bardziej pracowitym niż czytanie. Oczywiście najwięcej piszą urzędnicy, na pewno dużo więcej niż dziennikarze i literaci. Ale oprócz nich piszą także lekarze, inżynierowie, kelnerzy. Na biurkach lekarzy więcej można spotkać przyborów do pisania niż przyborów do leczenia. Idę o zakład, że również kelnerzy używają dziennie więcej papieru i to w lepszym gatunku niż felietoniści. Kelnerzy z reguły piszą przez kafełki, felietoniści raczej rzadko.

Kult słowa pisanego jest u nas równie wielki jak kult słowa drukowanego. Piszą nawet renciści i emeryci. Dwa razy do roku otrzymują z ZUS formularz do wypełnienia, w którym zobowiązani są oświadczyć, że nie pracują i żyją. Najbardziej dziwi mnie pisanie podań o urlop. Urlop jest przecież przywilejem, który się każdemu prawnie należy i nie widzę żadnego powodu, żeby prosić, w dodatku na piśmie, o to co mi z góry przysługuje.

Ale nie zawsze pisma są miarodajne. Na przykład w sprawach arbitrażowych między zakładami przemysłowymi utarł się taki zwyczaj, że najpierw wysyła się pismo, a w ślad za nim odpowiednio go przedstawicieli. Ponieważ z roku na rok tych spraw przybywa, codziennie setki pracowników jeżdżą z jednego krańca Polski na drugi, a żeby przed odpowiednią komisją arbitrażową oświadczyć osobście to samo, co przesłano na piśmie. W niektórych zakładach oddelegowani są do tego specjaliści pracownicy, którzy niczym innym się nie zajmują prócz uczestniczenia w arbitrażu. W związku z rozwinętą kooperacją pojawił się więc nowy rodzaj pieniaczów: zakłady pracy oskarżają się nawzajem o niedotrzymywanie umów terminowych i zamiast w określonym czasie wysłać odpowiednie części wysyłają obrotnych pracowników, których jeźnym zadaniem jest świecenie oczami w i-

mieniu niesolidnego przedsiębiorstwa.

Równocześnie z rozwojem słowa pisanego następuje jednak jego inflacja. Nikt tego co pisze, nie traktuje serio. Tymczasem mnóstwo ludzi męczy się, dręczy, śleczy, gryzmoła, kaligrafuje, inwentaryzuje, wypełnia i odfajkownie. Przecież chyba nie w tym celu zlikwidowaliśmy alfabetyzację. Zresztą stawiania krzyżyków i tak nie zlikwidowaliśmy. Zamiast trzech krzyżyków obecnie wszyscy stawiają sześć, co prawda nie na listkach plac lecz na kuponach tolotki, ale tu nie o formę lecz o treść chodzi. W tej dziedzinie notujemy wyjątkową przerosć formy nad treścią, dowodem tego niech będzie fakt, że humor z zeszytów szkolnych coraz bardziej wypierany jest przez humor z pism urzędowych ludzi dorosłych.

Jedyny solidny w treść tekst, jaki mi się udało ostatnio przeczytać, pochodzi z podmiejskiego kina „Czajka”: „Jeśli chcesz obejrzeć film bez zakłóceń, przed wejściem na widownię załatw potrzebę fizjologiczną”. Przebijają z tego troška o człowieka i głęboła znajomość ludzkich potrzeb fizjologicznych. Uderzająca jest tutaj również forma, forma propozycji „Jeśli chcesz...”, a nie zakazu. Literatura zakazów choć tak bogata, jest mało skuteczna. Przykładem tramwaje miejskie wyמושzone zakazami w stylu „nie pali”, „nie plu”, „nie jedź na gapę!”, „przesuwaj się do przodu!” itd. MPK wyczerpało cały zasób zakazów na NIE. Brakuje tylko jeszcze „nie jeźdź tramwajem!”.

Zadziwiła mnie ta wiara w skuteczność słowa pisanego. Równa jest ona tylko wierze w skuteczność kazań, które trwają prawie dwa tysiące lat a i to z coraz mniejszym powodzeniem. Jedynie pisanie, które osobście wysoko cenię i uznaję, i które ma według mnie jakąś wartość i sens to jest pisanie felietonów. Czymś bardziej pożytecznym od pisanja felietonów jest już tylko ich czytanie...

W. CZASOWICZ

ST. ZBIGNIEW
WÓJCIEKIEWICZ

Chmury nad planetą

OPRACOWANY PRZEZ WYBITNYCH UCZONYCH POD AUSPICJAMI ONZ DOKUMENT DOTYCZĄCY „ZAGROZENIA ŚRODOWISKA, W JAKIM ŻYJE CZŁOWIEK” STWIERDZA, IŻ NIEKONTROLOWANY ROZWÓJ WSPÓŁCZESNEJ CYWILIZACJI PRZEMYSŁOWEJ ORAZ NIEZWYKLE SZYBKA EKSPANSJA TECHNOLOGICZNA MOGĄ JUŻ W NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI ZAGROZIĆ WSZYSTKIM FORMOM ŻYCIA NA NASZEJ PLANECIE.

Niebezpieczeństwo wynikające z szybkiego i niekontrolowanego rozwoju techniki osiągnęło już w niektórych dziedzinach ludzkiej działalności „proporcje krytyczne”. Niezbędność szybkiej akcji za pogłębianej uzasadniona jest tym, że groźne problemy wynikające z rozwoju współczesnej cywilizacji, które do niedawna miały charakter lokalny, obecnie obejmują już całe kontynenty, mają charakter globalny i dlatego mogą być rozwiązane tylko w skali międzynarodowej. Katastrofalne mogą być np. skutki zmian klimatycznych, wynikaających z niezwykle szybkiego nasycecia atmosfery ziemskiej dwutlenkiem węgla oraz jej zanieczyszczenia szkodliwymi substancjami.

Współczesna cywilizacja (przemysł oraz środki transportu) zwiększyła zawartość dwutlenku węgla w atmosferze w ciągu ostatnich stu lat o 10 proc. Jeśli nie ulegnie zmianie, mającej na celu ratunek dla naszych płuc, do roku 2000 zawartość dwutlenku węgla w atmosferze powiększy się o następne 25 proc., jak na to wskazują przewidywane tempo ekspansji przemysłowej na świecie. Tak znaczny wzrost nasycecia powietrza dwutlenkiem węgla wywoła skutki wręcz katastrofalne, zagrażające nie tylko obecnym warunkom klimatu, ale wręcz ludzkiej egzystencji.

Działalność ludzka prowadzi do naruszenia składu powie-

trza. W zachodzącym w milionach motorów i wielkich pieców procesie spalania, węgiel łączy się z tlenem dając dwutlenek węgla, którego w atmosferze przybywa z dnia na dzień — przy jednoczesnym ubytku tlenu. W ciągu ostatnich stu lat człowiek spalił 130 mld ton węgla kamiennego, a ma go jeszcze do spalania ok. 16 trylionów ton! Zresztą spala on nie tylko węgiel, ale i torf, naftę, gaz ziemny, drzewo. Maszyny zużywają też olbrzymie ilości tlenu — np. odrzutowiec, przebywający Atlantyk pożera go aż 35 ton! Wystarczy sobie uświadomić, ile takich samolotów startuje codziennie z lotnisk kuli ziemskiej...

Proces zamiany w atmosferze tlenu na dwutlenek postępuje więc szybko naprzód. Ponadto każde żyjące stworzenie, a więc i człowiek wdy chając powietrze nie zwraca 7 proc. tlenu, gdyż przyswajają go organizm. Jak zaś wiadomo, liczba mieszkańców naszej globu ciągle wzrasta w oszałamiającym tempie — rocznie przybywa na Ziemi kilkadziesiąt milionów ludzi.

Z jednej strony przyspiesza my koncentrację dwutlenku węgla w atmosferze, z drugiej zaś niszczymy szatę roślinną, która pochłania dwutlenek węgla i wydzielala ten. Od roku 1800 ludzie wykarczowali i przeważnie spalili 1,6 mld ha lasów, czyli jedną trzecią całej ich powierzchni na Ziemi! Innym źródłem tlenu

atmosferycznego są mikroorganizmy żyjące w wodach oceanicznych. Tymczasem woda morską jest coraz bardziej zanieczyszczana w tym samym tempie, co atmosfera. Tak więc i tutaj produkcja tlenu ulega szybkiemu zmniejszaniu się.

Problemem jest nie tylko zmniejszająca się ilość tlenu, ale również stopniowe zatrucie atmosfery szkodliwymi substancjami. Zanieczyszczenie powietrza w dużych miastach jest już dziś alarmujące. Tylko amerykańskie fabryki zatrudniają co roku powietrze 125 milionami ton sadzy. Fabryka, zużywająca miesięcznie 50 tys. ton węgla w ciągu jednego dnia wytwarza 230 ton popiołu, którego część dostaje się do płuc okolicznych mieszkańców i to w promieniu 5 km. Wyzdzielane przez silniki aut gazy spalino we są cięższe od powietrza, toteż zanim rozproszą się w atmosferze, gromadzą się tuż nad ziemią. Tak więc — małe dzieci oddychają znacznie bardziej trującym powietrzem niż ludzie dorośli.

Analiza śniegów polarnych wykazała, że zawierają one obecnie 10 razy więcej ołowiu niż zawierały go jeszcze 200 lat temu. Pomiary przeprowadzone w Los Angeles świadczą, że przeciętna zawartość ołowiu jest tam w powietrzu 50-krotnie wyższa niż w rejonach wiejskich i zapewne 5 tys. razy wyższa, niż w czasach przedindustrialnych. Jak wiadomo, ołów jest tru-

ciźną o powolnym działaniu, którą posługiwano się powszechnie w średniowieczu, by w sposób dyskretny pozbyć się nieprzyjaciół. Nie wiemy jeszcze wprawdzie, jaka zawartość ołowiu w powietrzu stanowi dawkę śmiertelną, jednak już w latach pięćdziesiątych zaobserwowano niewytłumaczalne na pierwszy rzut oka zjawisko, iż mi mo starych postępów medycyny przeciętna życia ludzkiego przestała wzrastać, a potem... zaczęła się zmniejszać. Czy przyczyną nie należałoby szukać m. in. właśnie w fakcie zanieczyszczenia atmosfery, wody pitnej, żywności (środkami ochrony roślin)?

W Stanach Zjednoczonych wyrzuca się rocznie w niebo 65 mln ton tlenu węgla, 23 mln ton oliwy i substancji za wierających sadzę, 12 mln ton kurzu, 8 mln ton związków azotowych i 2 mln ton innych gazów i dymów. Jak się prze widuje, mimo surowej kontroli (rząd USA podjął kroki, by oczyścić powietrze w przeszo 7 tys. miast, ale jest to — zdaniem specjalistów — akcja zbyt ograniczona i za późno rozpoczęta, od jesieni 1967 r. obowiązują tam dopalacze do samochodów, pracuje się, jak i w innych krajach, nad konstrukcją samochodów elektrycznych, roczne wydatki na walkę z zanieczyszczeniem powietrza wzrosły ostatnio z 46 do 66 mln dolarów) do końca tego stulecia owe liczby ulegną podwojeniu.

W Tokio umieszczono nie-

dawno na skrzyżowaniach ulic zbiorniki z tlenem, by policjanci służby ruchu mogli co jakiś czas dać wytchnienie płucom. Uczeń z kalifornijskiego ośrodka medycyny stwierdził, iż smog — gęste chmury, powstające w mgliste dni nad obszarami, gdzie znajduje się dużo spalin — jest szkodliwy dla organizmu ludzkiego i przyspiesza proces starzenia. Brytyjskie Narodowe Towarzystwo Walki o Czyste Powietrze oblicza, że zanieczyszczenie atmosfery kosztuje Anglię rocznie ok. 300 mln funtów. Od września 1966 r. wszystkie samochody produkowane w Japonii muszą mieć dopalacze, zmniejszające zawartość czadu w gazach spalinowych przynajmniej do 3 proc. Mimo to z samolotów ledwie widać Tokio — największe miasto świata, gdyż wisi nad nim ślarkowa dym-mla, pochodząca głównie z samochodów. Na jednym ze skrzyżowań tego miasta policjanci regulujący ruch znikają się co godzinę. W Paryżu od r. 1959, gdy podjęto pierwsze środki zaradcze zawartość zanieczyszczenia w powietrzu spadła o 20 proc., jednak w tym samym czasie ilość gazów spalinowych z aut wzrosła prawie o 10 proc. Następnym krokiem ma tu być usprawnienie dysz samochodowych. Szwedzki Związek Inżynierów i Architektów opublikował książkę pt. „Szwecja jutrzejsza”, w której nawołuje do intensywniej akcji przeciwko zanieczyszczeniu bio-

POLONICA

WYSTAWA
ARCHITEKTURY
POLSKIEJ
W AUSTRII

Czytelnia Polska w Wiedniu przy współpracy „Osterreichisches Bauzentrum“ i „Zentralvereinigung der Architekten „Osterreichs“ zorganizowała przyjętą bardzo żywcizwie wystawę „Architektura polska 1960-1970“. Wystawę obejrzeli liczni mieszkańcy stolicy Austrii. Prasa wiedeńska zamieściła zaś liczne pozytywne recenzje.

Duże zainteresowanie, z jakim spotkała się wystawa, skłoniło organizatorów do powtórzenia wystawy w kilku miastach prowincjonalnych.

Obecnie wystawa jest czynna w Grazu. Potem zobaczą ją mieszkańcy Salzburga i Innsbrucku.

Warto dodać, że wystawę opracował dr inż. Janusz Leśniewski. (er)

POLONOFIL Z SALZBURGA

Mianem polonofila można określić Ferdynanda Neureitera, założyciela oddziału Towarzystwa Austriacko-Polskiego w Salzburgu, miłośnika literatury polskiej, znawcę Kaszub.

Ferdynand Neureiter w ostatnich latach nauczył się języka polskiego, aby lepiej śledzić współczesną literaturę polską. Wykłada ją na wieczorowym Uniwersytecie Ludowym.

Z ostatnich prac salzburskiego polonofila na uwagę zasługują szkice o Kaszubah oraz pierwsze po wnie tłumaczenie autorów kaszubskich.

Warto tu dodać, że F. Neureiter z zawodu jest kupcem i literaturą polską nie zajmuje się zawodowo.

(er)

POLONICA

TERESA WOJCIECHOWSKA

„Straszny Dwór“ w plenerze

Pomysł był nie tyle odkrywczy, ile na naszym gruncie całkiem nieoczekiwany. Bo wprawdzie do dawnych wieków trzeba by sięgnąć szukając tradycji teatru na otwartej przestrzeni, ale współcześnie kontynuują ją tylko kraje o ciepłym klimacie — głównie ku rozrywce turystów. W Polsce mamy jedyną Operę Leśną w Sopocie, która odważnie walczy z przeciwnościami klimatu, kontynuując tradycje opery na świeżym powietrzu.

Inicjatywa Teatru Wielkiego, który zapowiedział dwa przedstawienia „Straszno Dworu“ w uniejowskim parku, była więc swoego rodzaju rewelacją, którą niektórzy przyjęli z pewnym niedowierzaniem. Dziś, kiedy mamy już całe wydarzenie za sobą, można bez emocji ocenić jego wyniki. Sam pan Stanisław Moniuszko nie wymyśliłby zapewne piękniejszej oprawy scenograficznej dla swojej opery. Stary pałacyk w Uniejowie, wprawdzie niejednolity architektonicznie (zamek był rozbudowany i przebudowywany od XIV do XVII a nawet XIX wieku), ale jest za to bardzo malowniczy, otoczony parkiem, położony nad Wartą i stanowił uroczą tło dla barwnego, żywego widowiska.

Bo właśnie jako widowisko pomysłili do przedstawienia realizatorzy. Reżyser Antoni Majak wykorzystał wszystkie możliwości plenerowej sceny. Główną scenę ułokował na dolnym tarasie, z przestrzeni przed tarasem uczynił rodzaj proscenium. Do niektórych scen zbiorowych wykorzystał górny taras (na przykład do pierwszej sceny w drugim akcie) co dało bardzo ładny, malowniczy efekt. A poza tym — cóż za możliwości! Stefan i Zbigniew wracają z wojny na autentycznych koniach, pani Cześnikowa zajęta do Miecznika powozem zaprzężonym w dwa rumaki, bryczką zaprzężoną w konie, jadą bra-

cia do Straszno Dworu. Ładne te uniejowskie koniki, zapewne na scenę wybrano najurodziwsze w całym mieście. Tylko jakby trochę nerwowe, niezadowolone z nieoczekiwanej roli jaka im przypadła w udziale. Nic dziwnego, nie przyzwyczajone do ostrego światła reflektorów, do głośnej muzyki. Ale zagrały doskonale.

Muzyka do tego przedstawienia została w całości nagrana na taśmę magnetofonową i odtworzona z aparatury dźwiękowej. Decyzja zastąpienia muzyki „żywej“ mechaniczną podyktowana była wieloma względami natury organizacyjnej i technicznej, a przede wszystkim warunkami akustycznymi, które nie są najlepsze na frontowej scenie uniejowskiego zamku. Wewnątrz — na podwórku zamkowym — o, to całkiem co innego, tam akustyka jest wspaniała, za to miejsca mało. Ale na przykład na koncerty kameralne miejsce znakomite, a słuchaczy można by umieścić nie tylko wokół orkiestry, ale również na balkonikach i galerijkach.

Ale wróćmy do „Straszno Dworu“. Były te dwa przedstawienia prawdziwym wydarzeniem nie tylko dla Uniejowa i uniejowskiego zamku, który jest dziś ośrodkiem turystycznym. Inicjatywa Teatru Wielkiego spotkała się z wielką życzliwością, poparciem i pomocą ze strony władz wojewódzkich, powiatowych w Poddebicach i kierownictwa zamku w osobie pana Kozendry, który nie tylko z entuzjazmem przyjął propozycje, teatru, nie tylko pomógł im było w jego mocy, ale również snuje plany współpracy z Teatrem na przyszłość.

W ciągu tych dwóch dni zjechało do Uniejowa co niemiara autokarów z Łodzi i województwa, ścigali (warszawscy i inni) fotoreporterzy i — wbrew zwyczajom teatralnym — trzaskali w czasie przedstawienia kamery,

biyskały flesze. A wiekowy zamek, który wiele widział i slyszal, był twierdzą obronną i siedziabą arcybiskupów gnieźnieńskich i nie ominęły go wydarzenia ostatniej wojny, przeżył istne trzęsienie ziemi — inwazję dzwinych ludzi, którzy zradiofonizowali sale, przerobili je na garderoby i robili różne dziwne rzeczy.

Nie żalowali ci, którzy pojechali do Uniejowa na „Straszno Dwór“. Można by trochę pogrymasić na stronę muzyczną. Zapewne aparatura przekazująca dźwięk (mam na myśli szczególnie głośniki) nie była przeznaczona do transmitowania muzyki, szczególnie operowej. Nierówne jakośowo wydawało się też samo nagranie, chwilami bardzo czyste i precyzyjne, chwilami niezbyt wyraźne, nie wydobywające na plan pierwszy partii solowych wokalnych czy instrumentalnych. Może to była wina nagrania, może przekazu, ale przecież to był początek, pierwsza próba, nie poprzedzony żadnymi doświadczeniami ani eksperymentem. I na pewno był to olbrzymi wysiłek ze strony teatru, wykonawców i zespołu technicznego, wysiłek artystyczny, techniczny i organizacyjny.

Adaptacja przedstawienia scenicznego do warunków plenerowych i określonych bardzo warunków, które stwarzał fronton zamkowy, przeniesienie i przystosowanie sprzętu technicznego i dekoracji do warunków tak odmiennych od teatralnych, synchronizacja wszystkich tych czynników, to był na pewno bardzo poważny wysiłek, za który realizatorom i wykonawcom należą się słowa uznania. Szczególnie, że był to wysiłek uwieczony sukcesem.

Ten eksperyment sprawdził się i należy przypuszczać, że będzie początkiem nowej akcji popularyzowania sztuki operowej przez Teatr Wielki. Jak głosi plotka, istnieje już projekt wystawienia kolejnej opery na tle zamku w Oporowie, nie wykluczone, że z „żywą“ muzyką. Ale to już sprawa przyszłego roku, bo w tym jesień za pasem.

* „Straszno Dwór“ Stanisława Moniuszki. Reżyseria Antoniego Majaka. Wykonawcy: Delfina Ambroziak, Krystyna Kobus, Jadwiga Stoczek, Tadeusz Kopacki, Zdzisław Krzywicki, Jerzy Jadcak, Roman Werliński, Tadeusz Gawroński, Igor Mikulin i inni. Teatr Wielki w Łodzi, przedstawienie wyjazdowe w Uniejowie, 22 i 23 sierpnia 1970.



Andrzej Grun — „Ziemia Jaluwa“ — V. Grafika

sfer. Zdaniem autorów sytuacja jest alarmująca i wymaga poważnych ofiar całego społeczeństwa. Aby nie dopuścić do dalszego zanieczyszczenia powietrza trzeba zainwestować 7 mld koron w okresie najbliższych 5 lat. Poza tym 600 mln koron kosztować będzie zwalczanie zanieczyszczenia powietrza przez silniki spalinowe.

Człowiek, rozpętały sily, zwane przemysłowieniem i techniką bronil się przed nimi już 2 tys. lat temu. W r. 238 cesarz rzymski Aleksander Sewerus podpisał słynny edykt antydymowy nakazujący usunięcie poza obręb Wiecego Miasta wszystkich przedsiębiorstw kowalskich, kotlarskich, zbrojowniczych, płatnerskich i nożowniczych, gdyż za trwały one powietrze dymem. Podobnie postąpiono ostatnio w Moskwie, gdzie w ciągu minionych 10 lat zanieczyszczenie powietrza zmniejszono 4-krotnie eksmitując na prowincję ponad 150 zakładów przemysłowych oraz powszechnie przestawiając pozostawiony w niej przemysł na gaz ziemny.

Ekspertcy obliczyli, że co roku przemysł wytwarza w Polsce ok. 10 mln. ton pyłów. Oznacza to, że na 1 osobę przypada ok. 300 kg tych zanieczyszczeń. Najbardziej pyłotwórczymi gałęziami przemysłu są: energetyka, hutnictwo, górnictwo, przemysł materiałów budowlanych, chemia i włókiennictwo. Naukowcy bi-

ją na alarm wskazując na wzrost zawartości szkodliwych związków siarki, węgla i azotu w pobliżu dużych zakładów przemysłowych. Roczny opad pyłu w tonach na 1 km kw. wynosił w Gliwicach do 20 tys., w Rybniku do 23 tys., a w Chorzowie — najbardziej zapyłonym mieście Polski — do 32 tys. mimo podjętych tam ostatnio pewnych środków zapobiegawczych. Poza Górnym Śląskiem najbardziej zapyłonymi miastami Polski są: Opole, Wałbrzych, Łódź, Kraków i Warszawa gdzie roczny opad pyłu na 1 km kw. obszaru dochodzi do 800 ton (dla porównania w stolicy Górnego Śląska, Katowicach — 7 tys. ton), 6 mln osób mieszka w rejonach, gdzie zanieczyszczenie powietrza przekracza wszelkie dopuszczalne normy. Tymczasem w 1965 r. zaledwie 1 proc. kominów fabrycznych miał czynne urządzenia filtrujące. Pochłaniają one choć energię elektryczną, są kosztowne w eksploatacji, więc nawet tam gdzie istnieją... nie zawsze są włączone. Tymczasem zaś badania wykazały, że zanieczyszczone powietrze nie tylko wywołuje choroby dróg oddechowych i płuc, ale sprzyja powstawaniu chorób naczyniowych: nowotworów i chorób naczyń wieńcowych. Istnieje niewątpliwy związek przyczynowy między zanieczyszczeniem powietrza, a rakiem płuc i innymi chorobami płucnymi. Badania w USA wykazały, że gdy ilość zgonów na te choroby wynosi w regio-

nach wiejskich 15 na 100 tys. mieszkańców rocznie, a w miastach poniżej 250 tys. mieszkańców 18 na 100 tys., to w miastach powyżej 1 miliona wzrasta ona już do 30 na 100 tys. mieszkańców.

Czy tak musi być? Walka z zapyleniem i zadymaniem atmosfery jest bardzo kosztowna, trudna i skomplikowana. Doradne środki zaradcze są skuteczne tylko na krótką metę, niekiedy trzeba by zmienić całą technologię produkcji co pociąga ogromne koszty i często jest technicznie nieopłacalne. Nie wystarczy zainstalować urządzenia odpylające. Na świecie pracują one z dokładnością 99,9 proc., w kraju do niedawna z trudem osiągały 80-90 proc., a każdy procent to kilkadziesiąt ton pyłów z kominów elektrowni, cementowni, hut. W płockiej Petrochemii podwyższono wysokość kominu, co miało zapobiec szkodliwemu działaniu gazów na otoczenie. W rezultacie... działała ona w promieniu nie 6 km, jak zrazu projektowano a 30 km.

Kilkadziesiąt lat temu tylko satyrycy mówili o „Ministerstwie Powietrza“. Obecnie u nas, jak i w innych przemysłowych krajach, jest instytucja zajmująca się sprawą czystości powietrza. Działają też placówki naukowe — m. in. w PAN — zajmujące się problemem ochrony powietrza przed zanieczyszczeniami. W r. 1966 weszła w życie ustawa o ochronie powietrza atmosferycznego przed zanieczyszcze-

niemi, ustalono dopuszczalne normy zanieczyszczenia pyłem i gazami. Realizowany jest ogólnokrajowy plan instalacji oraz kontroli urządzeń filtracyjnych i ochronnych w zakładach przemysłowych. Od niedawna NOT wydaje nawet kwartalnik pt. „Ochrona powietrza“. W latach 1961-65 wydaliśmy na produkcję i instalowanie urządzeń ochronnych powietrza ok. 2,5 mld zł, a więc przeszło 6-krotnie więcej do pracy na innym paliwie — pozostałe — stopniowo wyposaża w neutralizatory spalin, które z czasem staną się obowiązkowe (czekające na skrzyżowaniach ulic stolicy samochody wypuszczają w smugach spalin co godzinę ponad 1 kg związków ołowiu, a matoryzacja w Polsce dopiero się rozwija). Czy to wszystko jednak wystarczy?

Jak dotąd posiadamy tylko okrochy wiedzy o skutkach ludzkiej ingerencji w układ dolnych warstw atmosfery. Jeszcze mniej wiemy o reperkusjach, jakie te zmiany mogą spowodować w stratosferze i w warstwach wyższych. Jedno jest pewne: na wysokości 40 km atmosfera jest 1000 razy bardziej rozrzedzona niż nad powierzchnią morza, a

na wysokości 80-100 km — milion razy; poważne zaburzenia lokalne w dolnych warstwach atmosfery mogą więc łatwo przenosić się w górę. Dotyczy to również przenikania tam cząstek materii, transportowanych przez rakiety kosmiczne. Problem sprowadza się więc do zagadnienia, w jakim stopniu warunki panujące na wielkich wysokościach kształtują atmosferę w najbliższym otoczeniu Ziemi. Promienie ultrafioletowe przez kształtując tlen w ozon, nieprzenikalny dla ludzi, ozon jednak łatwo podlega rozkładowi. Gdyby więc wskutek zanieczyszczenia został wyeliminowany, promienie ultrafioletowe dotarłyby do Ziemi narażając ludzi na ciężki „ciós słoneczny“, także na sterylizację czyli stopniowe wymarcie. Dodajmy do tego realne niebezpieczeństwo takiego naruszenia układu temperatur w atmosferze, że nikt nie może dziś określić, jak wielkie zmiany nastąpiłyby w klimacie.

Z pewnym opóźnieniem człowiek zaczął zdawać sobie sprawę z groźnych skutków nieprzemysłowej działalności na planecie, która stała się jego kolebką, lecz może też stać się grobem ludzkiej cywilizacji. Omówiliśmy zaledwie skutki ingerencji w naturalny skład atmosfery, a niebezpieczeństw dla dalszej egzystencji rodzaju ludzkiego jest dużo więcej: narastający kryzys żywnościowy, zanieczyszczenie wód itp. Zanieczyszczone powietrze jest jednak z wielu względów bar-

dziej niebezpieczne od zanieczyszczenia wód — jego pomiary są o wiele trudniejsze, a zanieczyszczonego powietrza atmosferycznego nie można wyłuszczyć z użycia — w końcu oddychać człowiek musi stale i wciąż. Coraz więcej państw podejmuje więc rozpaczliwe starania, prawne i naukowe, aby rozwiązać trujące chmury nad naszą planetą. Jednak tylko kompleksowe połączenie i ścisłe współdziałanie środków urbanistycznych i technicznych może wroży powódzenie walec dzisiejszej cywilizacji przeciwko niebezpieczeństwom, jakie grożą naszemu zdrowiu i życiu. Czyste powietrze stało się dziś artykułem pierwszej potrzeby, kontakt człowieka z przyrodą jest dosłownie i w przenośni konieczny — jak powietrze. Od tego przecież zależy w dużej mierze los przyszłych pokoleń.

Łódź, wrzesień 1969 r.



ROMAN LOBODA

Teoria czy sztuka?

Sztuka Antoniego Cwojdzńskiego pt. „Teoria Einsteina” wystawiona na Małej Sali Teatru Nowego jest jeszcze jednym, ale nienowym, nieporozumieniem.

Nie wszystko, co nie nowe jest martwe we współczesności, np. stare powiedzenie: „Gadał dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu”, także samo nie wszystko, co nowe musi być współczesne; na przykład Mała Sala Teatru Nowego za nic w świecie nie chce być współczesna. Zadziwia upór godny lepszej sprawy z jakim na tej sali realizuje się „ramoty” dramatyczne.

Wystawiając „Teorie Einsteina” teatr w programie (Mała Sala) przedrukowuje fragmenty recenzji Boya z 1934 r. i Karola Irzykowskiego z 1935 r., z których nie trudno wywnioskować jak ich najwybitniejsi krytycy okresu międzywojennego oceniali dzieło Antoniego Cwojdzńskiego.

Nie sądzę, aby realizatorzy nie znali tych opinii, czy złe je odczytali, toteż tym większym rozrzewaniem napawa domysł, że chyba — a jakże i krzepi — zawierzyli autorekomendacji w stylu: „(...) Rzecz jasna, że oprócz słów entuzjastycznych, jak: „udany eksperyment”, „komedia naukowa jako nowy gatunek literacki” itd. (...)”. A to itd. czas pogłębił, że „felieton naukowy rozłożony na siedem głosów” — jak wyraził się Irzykowski — po odejściu mu, modnej wówczas, rewelacyjności naukowej nie przedstawia większej, a nawet średniej wartości scenicznej.

Wiadomo przecież, że w o. kresie międzywojennym w tzw. dobrym towarzystwie nie wypadło nie znać paru obiegowych sformułowań i „prawd”, wypreparowanych

kuchennym kunsztem pseudointelektualistów, freudowskiej teorii snów i einsteinowskiej teorii względności. Tym się wówczas żyło i to była współczesność, i nie przeciwko temu nikt dzisiaj mieć nie może, bowiem taki snobizm jest lepszy od snobizmu: „nie znam tego, ale to jest chała, bo jestem ponad to”.

Dziś i „Teoria snów” i „Teoria względności” nie są no walikami, a nowe opracowania w tej materii nie czekały się szokującej popularyzacji i reklamy. Dla teatru niewielka strata, bowiem nie teorie są jego istotnym tworzywem, lecz materialne efekty tych teorii w konfrontacji, realizacji i zderzeniach konfliktowych w życiu. Tylko tą drogą może wejść na scenę — jak na swój sposób tego pragnął Cwojdzński — nauka, ale nawet nie nauka, tylko coś z niej, z jej ducha, do nauki, przez duże N. Trzeba nauki. Tymczasem, jak mi się wydaje, teatr nadal jest nauczycielem życia, a nie katedrą i to nauk ścisłych.

Stąd też Cwojdzński chce wprowadzić na scenę naukę ośmieszając ją, działając w dobrej wierze popularyzatora, a także uważając się za sui generis nowa tora teatru.

Model komediowy: nierozgarnięci uczeni w konfrontacji ze zdrowym prostym rozsądkiem i bystrością niedouczonych — dawał zawsze niezawodne efekty. Jest się z czego pośmiać. Cwojdzński jednak okazał się tu nowatorem: uczeni zadziwiali nieporadnością myślową w obrębie swoich specjalności, a nie, jak to tradycyjnie rozgrywa się w codziennych konkretnych czynnościach; zaś nieuczona większość wiaśnie na ich polu świeciła tryumfy, nie popisując się rozgarnięciem w praktycznych sprawach.

Bywało przecież, że jakiś pojedyńczy, prosty człowiek „zaginał” uczonych zdrowym rozsądkiem, czyli sprawnością samodzielnego myślenia, co jak wiemy, nie zawsze stanowi atrybut uczoneści. Ale i ten tradycyjny model Cwojdzński „unowocześnił”. Nigdy bowiem nie „sprzedawała” literatura, a w tym i dramaturgia samorodnych filozofów na pecku, jak to czyni Cwojdzński. Jest to więc komedia panegiryczna w stosunku do wszelkiej ignorancji, napisana chyba, jak to trafnie zaznaczył Irzykowski, pod kucharką Marynie i babcią z kanarkiem. Utwór to z kategorii tych, które wietrzeją po paru latach ze współczesności — bowiem, to co jest w nim najistotniejsze utrzymuje się jedynie na fali chwilowego zainteresowania lub mody.

Dziś, po trzydziestu pięciu latach gwałtownego roz-

woju cywilizacji i nauki, „Teoria Einsteina” może się żyć jedynie przypomnieniu, że u podstaw współczesnej fizyki teoretycznej leży teoria względności Einsteina. Może również współczesnym „Maryniom” nasunąć się myśl, że nie taka, to znowu nauka, skoro można jej „zasadnicze tezy” rozwijać drogą swobodnych spekulacji między sporządzaniem podwierzorku a kolacją.

Reżyser (Tadeusz Byrski) beztrudno przeniósł utwór Cwojdzńskiego na scenę ze wszystkimi jego wydziewkami, o których była mowa. Na szczęście w większości dzisiejsi odbiorcy, a szczególnie młodzież, są otrząskani z urokami współczesnej techniki, którą tworzą nauki ścisłe, toteż dowcip Cwojdzńskiego oceniają z dość pobłażliwym przyzwyczajeniem oka.

Trudno sugerować cośkolwiek na temat nowego odczytania, inscenizacji i reżyserii „Teorii Einsteina”, sądzę jednak, że utwór nie wart był większego wysiłku od tego, którym został eks-humowany.

Aktorzy grali jak należy w komedio-farsie, głównie nateżając uwagę by nie pokreć „wymiarów”. Co im się w zasadzie udawało.

Jak zwykle pełną werwą Janina Jabłonowska utrafiła we właściwy plebejski ton zadomowionej gosposi Maryni i jej „filozoficzne” spekulacje brzmiały nie tylko najbardziej komicznie, ale i prawdziwie. Również Wojciech Pilarski (Profesor) i Wanda Jakubińska (Matka) utrzymali się w założonej koncepcji umiarkowania i „powagi”. Wanda Chwałkowska z wrodzonym wdzi-

kiem umiała znaleźć się w niezbyt ciekawej roli Helenki, córki profesora. Jeszcze mniej wdzięczne pole do popisu mieli Maria Białobrzaska (Pani Stefa, maszynistka) i Zbigniew Nawrocki (Włodek, syn profesora).

Zygmunt Zintel, aktor wytrawny i talent komediowy nie czuł się dobrze jako literat, a sądzę, że również jako profesor filozofii nie czułby się gorzej. Tak więc zamiana filozofa na literata, której dokonano w Teatrze Nowym niczego nie zmieniła. Pan Henryk, kimkolwiek był, zaprezentował się po prostu jako zwyczajny głupek.

Nie pomogło Cwojdzńskiemu dwanaście lat terminowania w teatrze. Najbardziej stroną jego komedii jest właśnie dramaturgia. Poczawszy od konstrukcji sztuki, poprzez dialogi i rysunek postaci przewija się wtórność myślowa i niesamodzielność artystyczna.

Powtarzam więc (nie wiem już zresztą po raz który): po co na Małej Sali Teatru Nowego wystawiać rzeczy zwietrzałe o co najmniej wątpliwej wartości intelektualnej i artystycznej? Jeżeli to jest kompromis na rzecz mało obsadowej sztuki, to lepiej już grać monodramy współczesne, których jest sporo. Niemniej jednak i znów nie po raz pierwszy, przypominam, iż małe sceny teatrów mogą służyć z pożytkiem przynajmniej dramaturgii współczesnej, jeżeli już nie eksperymentalnej.

Teatr Nowy, Mała Sala, Antoni Cwojdzński „Teoria Einsteina”. Reż. Tadeusz Byrski. Scen. Henri Poulain.

WYNIKI KONKURSU

„DOKĄD ONI JADĄ”

Kilkaset odpowiedzi nadesłali Czytelnicy „Odgłosów” na nasz wakacyjny konkurs. Zadanie nie okazało się zbyt trudne — prawie w dziewięćdziesięciu procentach odpowiedzi znalazły się prawidłowe rozwiązania.

A zatem — Jarosław Iwaszkiewicz — Nohant, Violetta Villas — Las Vegas, prof. Tadeusz Kotarbiński — Kazimierz n. Wisła, Irena Dziedzic — Sopot, Sobiesław Zasada — Monte Carlo, Andrzej Wajda — Cannes.

W wyniku losowania pierwsza nagroda (bon towarowy wartości 1500 zł) przypada **KRYSTYNE CIEŚLAK — ŁÓDŹ, UL. KORZENIOWSKIEGO 30**. Nagrodę w postaci bonu wartości 1000 zł otrzymała **LUCYNA ZADUMIŃSKA — Piotrków, ul. Bieruta 4**. Bon towarowy wartości 700 zł wylosował **JAN JASKÓLSKI — ŁÓDŹ — WIDZEW, ul. Miedziana 18 m. 1**. Nagrodę w postaci rocznej prenumeraty „Odgłosów” otrzymał **TADEUSZ JANUS — Katowice 4, ul. Bocheńskiego 71**.

TELEOBIEKTYW

W DESZCZOWY WIECZÓR

W sierpniu nie oglądałem systematycznie programu telewizyjnego. Ostatecznie felietonista ma także prawo do urlopu. Związując, że Tele-obiektyw zamieszczam już na łamach „Odgłosów” czwarty rok. Kiedy zacząłem latem 1967, sam nie spodziewałem się, że uda mi się schwytać oddech tak długi.

Deszczowy wieczór w Bieszczadach, skąd przesyłam ten felieton do Redakcji, skłania do refleksji. Jak to tam było z tym Tele-obiektywem na przestrzeni przeszło trzech lat? Napisało się trochę nie uporządkowanych, chaotycznych uwag na marginesie różnych pozycji programowych, skreśliło sylwetki niektórych osobistości telewizyjnych. Czy złoży się to kiedyś w jakąś całość, w zbiorek poglądów na młodą sztukę telewizyjną (jeżeli taka w ogóle istnieje — wielu jest przeciwników wyodrębniania telewizji jako samodzielnej Muzy)? Nie wiem.

Natomiast może udało mi się od czasu do czasu skłonić tego, czy innego telewidza do chwili zastanowienia nad owym strumieniem przepływającym przez ekrany naszych telewizorów. Do zastanowienia się nad szczególnymi środkami wyrazu, jakimi operuje telewizja, nad stopniem wykorzystania możliwości, jakie tkwią w jej specyfice.

Zdarzało mi się przy tym być także złośliwym. Zauważyłem, że część czytelników i zarazem telewidzów nie znosi, gdy złośliwość dotknie ich ulubionych wykonawców. Na zamieszczony w lipcu tego roku felieton pt. „Paskwił na snobizm, czyli mój głos w dyskusji nad rozrywką telewizyjną”, otrzymałem w odpowiedzi od jednej z czytelniczek pocztówkę z kwiatem cytryny. Nie dotknęło mnie to. Chciałem być złośliwym i czytelniczka potwierdziła tylko w alfabecie kwiatowym, że mi się to udało.

A w ogóle to nietolerancja dla cudzych (nie własnych) drobnych złośliwości jest u nas wielka. Skóra na mnie cierpnie, gdy pomyślę, ilu osobom naraziłem się felietonami na temat Fogga oraz Jacka i Agatki!

Aby więc nie ściągając gromów na swą głowę, nie napiszę, że Wicherek traktuje po macoszemu piękną polską mowę i ucieka się czasem do dowcipów na poziomie infantylnym (np. otulanie się płaszczem deszczowym przed zapowiedzią słonecznej pogody). Nie napiszę, że utalentowana prezenterka telewizyjna Irena Dziedzic przestała się całkowicie kontrolować (redaktorzy programów już dawno zaniechali tej kontroli) i popada w nieznośną chwilami manierę głosową. Nie napiszę, że w pretensjonalności swej znalazła Irena Dziedzic godną następczynię w spikerce poznańskiej Marli Wróblewskiej...

Nie napiszę tego i nie napiszę innych nasuwających się mi złośliwości. Chciałoby się dla przeciwwagi napisać coś pozytywnego, a tu letni program dostarcza jak na złość tak mało okazji po temu. Obejrzałem właśnie (23. VIII) w ramach Teatru Niedzielnego komedię Aureli Barangi „Obrona sycylijska”. Tak chętnie witamy widowiska komediowe na małych ekranach. Cóż, kiedy i w tym wypadku zawoła!

Sztuka rumuńska okazała się mieszaniną libretta operetkowego typu Kaimana i problematyki współczesnej. Całość nie wypadła, a szkoda, bo główna osnowa nie była taka znów obca i dla naszej rzeczywistości. Iluż to młodych ludzi po ukończeniu studiów w Warszawie używa wszelkich wybiegów, by nie przyjąć pracy w tak zwanym terenie!

W dniach od 27 do 30 sierpnia w zapowiedziach programowych króluje niepodzielnie Sopot. Transmisje z festiwalu wyperają inne formy rozrywkowe, programy literackie, teatralne, filmowe. Śnać kierownictwo telewizji uważa, że entuzjazmowanie się Sopotem należy do obowiązków narodowych.

Stop! Nowa złośliwość. Trzeba kończyć ten felieton pisany w deszczowy wieczór. Może jutro zaświeci na niebie słońce...

Tadeusz Janus

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Czeski film „TEORIA UWODZENIA” reż. Antonína Kačílika przedstawia w sposób ironiczny historię nieudanej miłości człowieka, który sądził, że potrafi pokierować do końca życiem swoim i innych. Tak zapowiadana jest ta czeska komedia i — i istotnie — taki jest zasadniczy sens filmu. Ale walory obrazu nie tkwią wcale w jego moralizatorskim motywie. Właściwie można nawet podważyć twierdzenie autorów „Teorii uwodzenia”, że, Adolf kocha Janę, że w ogóle chodzi tu o nieudaną miłość. Bohater, wydaje się, nie kocha wcale przystojnej studentki konserwatorium — chce ją po prostu zdobyć. To wszystko.

Intryga więc banalna. Ale — jak to zazwyczaj bywa w filmach czesocholowackich — błaża historyjka opowiedziana została w sposób intrygujący, pełna ciekawych spięć, — po prostu interesująca. Jest też na pewno wiele prawdy psychologicznej w fakcie, że nieszczęsny „playboy powyżej czterdziestki” zakochuje się w końzowych partiach filmu najzupełniej autentycznie i szczerze. Nie-

stety jest już za późno — rozwinięta intryga przyniosła owoce. Mity stworzonego przez Adolfa ku pognębieniu „opornej” dziewczyny nie zniszczy nawet ujawnienie prawdy, odkrycie kart tej niemądrej zabawy z niezbyt mądrą dziewczyną.

Myślę jednak, że trochę wbrew realizatorom prawdziwym bohaterem filmu nie jest para Adolf — Jana, a właśnie „ten trzeci” — uosabiający stworzony przez Adolfa mit. Ten trzeci czyli Grek Apostolek grany znakomicie przez Pavla Landowsky'ego. Jeśli dla określenia rodzaju „Teorii uwodzenia” twórcy przyjęli pojęcie „komediodramatu” — to Apostolek jest tu właśnie komedia, a dramatem — pozostałe — nieco wydumane — moralizatorskie motywy i sekwencje.

Jeśli nawet zostawimy na boku te wszystkie przewrotności, prawdy i półprawdy psychologiczne — pozostaje nam zawsze w tym filmie dużo naprawdę dobrej, ambinej, choć trochę smutnej komedii. Jeśli nawet do widza nie dotrą te wszystkie subtelności i melancholie opowiedzianej historii — zawsze pozostanie humor — komedia na wysokim poziomie, dowcipne dialogi, zabawne spięcia i sytuacje...

Na ten film z czystym sumieniem

mogę namawiać Czytelników, bowiem oczekujący tylko rozrywki znajdą tu przedni humor — oczekujący refleksji, „drugiego dna”, materiału do zadumy nad samym sobą i naszą obyczajowością — znajdą tu bez trudu także te walory. Tylko — wbrew tytułowi — nie ma w filmie żadnej „teorii uwodzenia”. Jest to tytuł polski — w czeskiej wersji film nazywał się „Ja, smutny bóg” oddając dokładnie moralizatorską myśl przewodnią. Bohater-narrator sam ukartował intrygę, sam wymyślił mit — stworzył „teorię”, która nie sprawdziła się w praktyce. Przegrał więc i pozostał mu smutek i rozgoryczenie.

* * *

W latach trzydziestych modne były tzw. „zwarlowane komedie”, w których fabuła bywała wąta, ale bezustannie, ktoś kogoś gonił, ktoś uciekał, samochody wpadały na siebie, ludzie fikali koziołki, ciastka z kremem lądowały na białych gorcach frakowych koszul... Francis Ford Copolla twórca komedii „JESTEŚ JUŻ MĘŻCZYŃNA” (prod. USA) zreszcie, swobodnie i z ogromnym wdziękiem przesczepił w styl „nowej falli” tamte stare, wypróbowane chwytliwy. W filmie Copolla nawet za-

cinające się maszyny i topogłowi służbiści, stare gagi i tricki nabierają świeżości. A jednocześnie reżyser czerpie ogromnie dużo z filmowych chwytów „nowej falli” stosując stopklatki, zmiany szybkości ruchu, zdjęcia reporterskie w stylu „cinema verité”...

W sumie to pozorne pomieszanie tradycji i nowoczesności dało film pełen wdzięku, lekkości i swobody a jednocześnie bardzo jednorodny stylizacyjnie.

Ale są to sprawy, które może Czytelnika mniej interesują. Warto więc powiedzieć, że „Jesteś już mężczyzną” uznano według niektórych amerykańskich krytyków za „najśmieszniejszy film roku 1967”. Jest to chyba dla ewentualnego widza informacja nie bez znaczenia.

Mimo wszystko film jest daleki od schematów typowo amerykańskiej komedii — może dlatego zyskał większy rozgłos w Europie niż w Stanach Zjednoczonych. Copolla komediową intrygę obudował bowiem bogatymi obserwacjami obyczajowymi i z których wyłania się prądka codziennego życia Nowego Yorku. Świeżości tego ujęcia nie zdolali docenić widzowie amerykańscy. U nas ten film na pewno będzie się podobać.

KINOMAN

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

WYSTAWA SZTUKI AMERYKAŃSKIEJ

W Fundacji Maeght w Saint-Paul-de-Vence została otwarta wystawa sztuki.



Lee Bontecou

ki amerykańskiej. Zorganizował ją amerykański krytyk sztuki, Dore Ashton. „Nie pragnęłam aby ta wystawa była reprezentatywna” — powiedział. „Wybrałam artystów, których lubię i których bronie od lat dwudziestu”. Pomimo tego stwierdzenia, że względu na znane nazwiska amerykańskich twórców, których dzieła pokazano na wystawie, ekspozycja może uchodzić w jakimś sensie za reprezentatywną dla obecnych tendencji całej sztuki amerykańskiej.

Prasa francuska raczej chłodno przyjmuje ostatnie poszukiwania amerykańskich twórców, wyróżnia przy tym rzucające się w oczy pewne charakterystyczne cechy ich dzieł. A więc zaznacza się wyraźnie dążność do ope-

rowania możliwie prostymi, czystymi formami geometrycznymi. I tak np. Louise Nevelson, który do niedawna jeszcze tworzył skomplikowane konstrukcje przestrzenne z pogiętego żelastwa, pracuje teraz używając jako tworzywa stali, nad surowymi kompozycjami o czystej formie trójkąta i koła. Wybitny przedstawiciel amerykańskiego pop-artu, Roy Lichtenstein, twórca obrazów przypominających żywo poszczególne ilustracje komiksów, pokazał na obecnej wystawie w Saint-Paul-de-Vence barwne kompozycje geometryczne, których płaszczyzny wyznacza drobny punktulki przypominające reprodukcje drukarskie. Inną cechą charakterystyczną ostatniej twórczości amerykańskiej jest tendencja do minimalizmu lub najczęściej maksymalizmu formy. I tak Tony Smith wykonuje rzeźbę będącą zwykłym sześcianem, tyle że ogromnym jak cały budynek. I wreszcie trzecia tendencja to ukazywanie pustki. Lee Bontecou stworzył stylizowane drzewo z plas-



James Rosenguit

tiku eksponowane na tle całkowicie pustej przestrzeni. Pustka ta dominuje często w dziełach i innych twórców, a jej podkreślenie nie i wyeksponowanie w otwartej przestrzeni jakiegoś odczłowieczenia dzieła, które staje się czymś tak bez osobowym i ogólnym, iż



Roy Lichtenstein

ma się wrażenie, że mogłoby być wykonane masowo fabrycznie. „Ta pustka zdaje się pożerać same dzieło” — zauważa jeden z paryskich recenzentów i dodaje, że nasuwa się tu porównanie z lustrem pozostawionym w pustej przestrzeni.

W 75-LECIE URODZIN MICHAŁA ZOSZCZENKI

W sierpniu br. przypadła 75 rocznica urodzin Michała Michałowicza Zoszczenki (1893—1958) rosyjskiego pisarza, satyryka i humorysty. Zoszczenko znany jest m. in. jako autor tzw. skazów, utworów zblizonych formą do ludowych opowiadań. Pisarz łączył często elementy skazu z zabawną anegdotą.

„Literaturna Gazieta” wydrukowała niektóre z opowiadań Zoszczenki na, pisanych w końcu lat dwudziestych i na początku lat trzydziestych.

Michał M. Zoszczenko pozostawił po sobie wiele utworów nieznanych szerzemu ogółowi. Większa część tych utworów rozsiada jest po najrozmaitszych tygodnikach satyrycznych i dziennikach leningradzkich. Jak dotąd nie zebrał w jedno tych wszystkich, często miniaturowych dzieł. Na szczęście sam Zoszczenko czterdzieści lat temu zgromadził w swym domowym archiwum wycinki ze swymi utworami z dzienników i tygodników. W roku 1933 napisał coś w rodzaju przedmowy do tej przyszłej publikacji. Pisał m. in.: „Kiedy umrę, znajdą się tacy, którzy będą chcieli odnaleźć nasze zapomniane opowiadania. Nie dość tego. Wynajmą ludzi, którzy swymi paluchami zaczną kartkować stare pisma wygrzebując stamtąd nieznane utwory. Podpisane pseudonimami potraktują jako przez nas napisane. Postanowiliśmy tege unikać. Postanowiliśmy sami wykonać tę pracę w ciągu naszego życia. Po cóż na cudze ramiona zwałić swój trud”.

PO RAZ PIERWSZY KOBIETA FRANCUSKI DRAMATURGIEM

Nie pytajmy kobiety o lata. Francoise Dorin ma

ponad 35, ale mniej niż 40. Jest ładna, może nawet piękna, jasnowłosa i o zielonych oczach. „Francoise Dorin — czytamy w tygodniku „Paris-Match” — jest pierwszą kobietą, dramaturgiem francuskim, nie tylko naszej epoki, ale wszystkich czasów. Mozeć poszperać w przeszłości: nie znajdziecie drugiej, jeśli poszukacie w teraźniejszości, bez trudu odnajdziecie Francoise Sagan, ale Saganka jest z temperamentu powieściopisarką i — czego zresztą nie ukrywa — pisze sztuki dramatyczne dla zarobku”.

Nie szperaliśmy w historii literatury francuskiej i powyższe twierdzenie podajemy na całkowitą odpowiedzialność tygodnika „Paris-Match”.

Wróćmy jednak do pleknej Francoise Dorin. Jej trzy kolejne sztuki osiągnęły niebywały sukces i przyniosły ogromny majątek. Sztuka pt. „Jak w teatrze” miała już 400 przedstawień, za prawa wystawienia jej na Broadwayu Dorin otrzymała dwa i pół miliona franków. Sztuka „La Facture” szła w Paryżu 530 razy i przyniosła 11 milionów franków dochodu. „Un sale egoiste” (Wstrętny egoista) zdobyła dzień nie 20 tys. franków wpływu kasowego. Aby ją obejrzeć tłumy przychodziły do „Théâtre Antoine”. Dorin otrzymuje liczne propozycje grania jej utworów za granicą lub ich filmowania.

Jaki jest powód niezwykłych sukcesów dramatycznych Dorin? Jej sztuki o tematyce na wskroś współczesnej poruszają ważne problemy obywatelskie, a pisane są lekko i z wdziękiem. Droga Dorin do sukcesów bynajmniej nie była łatwa. Jest córką René Dorin, jednego z najsłynniejszych piosenkarzy. Francoise Dorin marzyła o sławie estradowej. Występowała kilka razy w rewelach u boku swego ojca. Próbowala pisać skoczki. Jeden z nich, w jej interpretacji, zdobył uznanie publiczności. Zachęciło to Dorin do pracy nad tekstami estradowymi. Napisała teksty do kilku piosenek oferując je gwiazdom piosenkarskim. Niestety, odrzucono je. Próbo-

wała się w powieści. Wydała dwie „Virginie et Paul” i „La Seconde dans Rome” — obie, mimo pochwał krytyki nie zdobyły uznania czytelników i zostały rozprzedane w minimalnej ilości egzemplarzy. Przygnębiona niepowodzeniem Dorin przestaje pisać. Wychodzi w tym czasie za mąż. Niestety, małżeństwo jej jest nieudane i Dorin opuszcza męża. Zdrzutowana niepowodzeniem życiowymi choruje nerwowo.

I oto w roku 1964 Charles Aznavour bierze od niej piosenkę. „Que c'est triste Venise”. Piosenka staje się bestsellerem sezonu. Plyta z piosenką Dorin w wykonaniu Aznavoura zdobywa świat. Jest tłumaczona na 19 języków. Wtedy to Francoise Dorin odbiera telefon od dyrek-



Francoise Dorin

tora jednego z teatrów paryskich: „Czy nie miałabyś dla mnie jakiejś sztuki?” Dorin waha się. Prosi o dwa tygodnie czasu. Po tym terminie wysyła tekst sztuki, jaką pisała kilka lat temu. Sztuka ma tytuł „Jak to w teatrze”. Jest lekka i głęboka równocześnie, napisana z dużym wyczuciem wymogów scenicznych. I zdobywa prawdziwy sukces. Z Dorin niedoszłej aktorki estradowej, niezbyt udanej powieściopisarki i autorki tekstów staje się uznaną (i bogatą) kobietą dramaturgiem, jak zapewnia „Paris-Match” po raz pierwszy Francuzka została dramaturgiem.

Bez strachu

DWAJ

I

Nieznany wróg, wróg bez kształtu, bez imienia — po znawcy tylko z czynów, okrada mnie z chwili spokoju, wycopynkę, okrada z chwili pracy. Przez długie godziny nocy, a zwiastuje rannem, odbywa przewlekłe rozprawy sądowe, sądząc, krzywośdząc, każdy mój uczynek i to jego bezprawne sądownictwo jest już wyrokiem, a nawet wykonaniem wyroku. Potrafi mówić bez słów, krzyczy milczeniem, ze szczególnym upodobaniem dobiera się do moich dobrych uczynków, ukazuje ich próżność i pychę, ich ukryte zło — powtarza, stale powtarza, wystarcza mu jeden krótki motyw do calonocnej gry... A przecież to ja mógłbym go oskarżyć o kradzież mojej energii, czasu, o nadużycie, ba o brak uprawnień, a przede wszystkim mógłbym zakwestionować jego obecność, jego istnienie. Jedyną racją jego istnienia jest walka ze mną, nie jada i nie pija, nie widziałem go w ubraniu, które sobie sprawił, w mieszkaniu, które wyomoczył. Jest tylko we mnie i ze mnie chyba powstał — jakże to więc syn świadczy o ojcu? Młodszy świadek czy o starszym, zależny o niezależnym, jakie ma kwalifikacje do tych nocnych i rannych oskarżeń?..

II

Nieznany przyjaciel rozmawia ze mną bez słów, bez głosu, nocą, albo weze snym rankiem. Chwali mnie, przypomina tych, których wspieram, tych których ocaliłem. Uporczywie sugeruje, jak pozorne jest moje zło, jak gruntowne i płodne dobro. Osądza mnie życzliwie, podnosi, stawia za wzór komuś, kogo nie ma, kogo nawet nie nazywa imieniem. On także nie ma imienia, ani kształtu, on także powstał ze mnie, acz bez mojej wiedzy i woli. On także nie ma uprawnień, brak mu odzienia i domu, za to dostaje mu odwagi aby mnie akceptować, ba sławić...

III

Kim jesteście żebrycy bez twarzy, z których jeden pogłębia, a drugi kłóbi? mięśnia sercowego, których jeden prostuje, a drugi szarpie mój oddech — jest tytu innych ludzi, a oni są dla nas tylko przykładem, dowodem argumentem — jedynym waszym zainteresowaniem, ubogą obsesją, maleńkim światem jestem ja — ktoś zatem bez szczególnego znaczenia mało ciekawy, człowiek słów, a nie uczynków, człowiek nieomal wyślony. Już mija noc i mija rano, jaśnieje pełny dzień. Ubrany wychodzę z mieszkania. Prawa dnia są inne, w pełni racjonalne, podporządkowane rozumiałym układom socjalnym i przyrodniczo pojętej psychologii rodzaju ludzkiego. A wy? Cóż na leży wam jakiś punkt, podrzucił w traktacie o sprawach osobowości. Jesteście mniej ważni niż jeden krok, niż jeden ruch ręki.

BERNARD SZTAJNERT

str. 11



SZTUKA UŻYTKOWA ESTONII

KRAJ NIEZNANY — DWA ELEMENTY ATRAKCJI — SKÓRA JAKO TWÓRZYWO — ZŁOTE MEDALE NA EXPO — ŚWIECZNIK CZY RZEZBA? — SZTUKA NA CO DZIEŃ.

Trzy dni temu w salach Muzeum Historii Włókiennictwa otwarto niezwykle ciekawą wystawę sprawowaną z dalekiego Tallina. Na atrakcyjność tej ekspozycji składają się dwa elementy. Po pierwsze jest ona odkryciem zupełnie nam nieznanego sztuki użytkowej artystów radzieckiej Estonii. Bo cóż właściwie wiemy o tej bałtyckiej republice — maleńkiej, liczącej zaledwie półtora miliona mieszkańców? I choć właściwie niedaleko z Polski do Estonii jest ona dla nas krajem egzotycznym i nieznanym.

Wystawa jest zatem odkryciem nieznanego nam narodu — jego sztuki i kultury. A przecież najlepiej poznawać przyjaciół — za pośrednictwem sztuki — to jest najlepsza użytkówka. Drugi element atrakcyjności estońskiej ekspozycji polega na tym, że prezentowana w Muzeum Włókiennictwa sztuka użytkowa jest po pro-

tu piękna — wysokiej artystycznej próby.

Pani Inge Teder — dyrektor Państwowego Muzeum Sztuki w Tallinie — mówiąc o przywiezionej ekspozycji podkreślała bardzo mocno, że związki z Łodzią zaczęły się właśnie przed dwoma laty, kiedy to Łódzkie Muzeum wystawiło polską tkaninę artystyczną w Tallinie. A więc przy okazji słówko o działalności naszej placówki. Otóż nie tylko dobrze reprezentuje ona polską sztukę tkacką za granicą, ale na dodatek nawiązuje pozytywne kontakty owocujące potem ciekawymi ekspozycjami w Łodzi. „Sztuka użytkowa Estonii” po obejrzeniu jej przez publiczność Łódźka powędruje na dalsze tournée wystawowe po Polsce.

Związki z Łodzią i republikę polskiej wystawy gobelinów w Tallinie dostrzec można zresztą już na samej ekspozycji i to — oczywiście — w dzia-

le tkactwa artystycznego. W wielu tkaninach artystycznych widać — równorzędnie z elementami typowo estońskimi — wyraźne inspiracje dokonane twórczych polskich artystów-tkaczy.

Całkowitym odkryciem i zaskoczeniem są natomiast wytwory artystów ceramików, metaloplastyków oraz niepowtarzalne, piękne wyroby ze skóry. Puzderka, oprawy książek i albumów — bogate w rzeźbienie o oszczędnej lecz pełnej ekspresji kolorystyce stanowią jeden z najciekawszych działów wystawy.

Tradycje sztuki użytkowej w Estonii są stosunkowo młode. Pierwsza szkoła tego typu powstała w Tallinie w początkach XX wieku, a w roku 1938 narodziła się Akademia Sztuki Użytkowej kształcącej artystów dla całego Związku Radzieckiego. Nie więc dziwnego, że obecny Państwowy Instytut Sztuki, który dziś posiada tak że wydziały tzw. sztuki czyste (malarstwo, grafika, rzeźba) uważany jest za jedną z wybitniejszych uczelni artystycznych Kraju Rad.

Przed laty, na Expo 58, artyści estońscy otrzymali wiele złotych medali za wyroby sztuki użytkowej. Potem przyszły wystawy zagraniczne w Finlandii, Czechosłowacji, Rumunii, Jugosławii, NRD... Do Polski prezentacja artystów estońskich trafiła późno, właśnie teraz — dzięki

kontaktem z Łódzkim Muzeum Włókiennictwa.

Oczywiście nie sposób opisać choćby część ponad 500 eksponatów wystawionych w salach muzeum. Zasygnalizowałem już niezwykle ciekawy dział wyrobów ze skóry — piękna jest również bogata kolekcja biżuterii, niezwykle oryginalna i zupełnie różna od znanej nam ze sklepowych „Jubilerów” biżuterii innych artystów Kraju Rad.

W Polsce mamy dość ciekawą i różnorodną twórczość artystów — metaloplastyków, mamy ciekawe ludowe kowalstwo artystyczne. Wydawać by się mogło, że w tej dziedzinie trudno nam czymś nowym zaimponować. A jednak! Metaloplastyka prezentowana na wystawie estońskiej sztuki użytkowej stanowi dla polskiego odbiorcy kolejne zaskoczenie. Ilekć piękna można — okazuje się — zawrzeć w oryginalnej formie dzbanuska do kawy, kielicha o splecionej misernie pod stawie czy wreszcie zwykłego... czajnika. Potężne, kutę w metalu świeczniki przestają właściwie być zwykłą formą użytkową, stają się samodzielnymi, jak gdyby dziełami sztuki — rzeźbą. Podobnie greszą jak wspomniane już tkaniny czy ceramika. Piękne, inkrustowane przebarwione talerze chętniej zawieszymy na ścianie jako dzieło sztuki — niż ustawimy na stole z prozacz.

na piramidą owoców czy słodyczy.

Podobnie malowane flaszki, efektowne wazoniki, trawione w metalu kubki i szklance — przedmioty użytkowe, które jeszcze nie zatraciły walorów użytkowych, a już zyskały artystyczną rangę prawdziwej sztuki.

Jest takie powiedzenie — „Jeśli chcesz poznać człowieka, zobacz co czyta”. Myślę, że jeśli chce się poznać cały naród, trzeba zobaczyć co tworzy — jaka jest jego sztuka. Także — a może przede wszystkim — jaka jest sztuka użytkowa. Właśnie ta na co dzień, towarzysząca ludziom nie od święta — ale w domu, w pracy, w muzealnych galeriach Mait Summatavet — naczelny architekt Biura Wystaw w Tallinie mówi że twórczością w dziedzinie sztuki użytkowej i projektowaniem dla przemysłu zajmuje się w Estonii ponad 200 artystów. Dwustu artystów! To ogromnie dużo w republice liczącej mniej mieszkańców niż 11 czy województwo łódzkie. Dwustu estońskich artystów tworzy wyłącznie po to, aby ludzie, właśnie na co dzień, otoczeni byli przedmiotami pięknymi, wysokiej artystycznej próby. Na wystawie w Muzeum Włókiennictwa możemy się o pięknie użytkowej sztuki Estonii przekonać naocznie.

Jerzy Wilmański

Mafia

Na zegarek wieżowym wybiła północ. Ulica toniła w mroku. W ciszy nocnej rozlegał się monotony odgłos kroków człowieka, który szedł wzdłuż szeregu nędznych budynków. Przed każdą bramą sprawdzał numer domu. Wreszcie zatrzymał się. Na dole przejrzał spis lokatorów i wszedł po schodach na drugie piętro. Stał w korytarzu.

Młody człowiek był szczupły i warty. Wyciągnął z kieszeni cmenteczkę, otarł twarz i szyję z potu, przeklinając wilgotne gorąco. Miał za chwilę wykonać poważną robotę. Nareszcie doczekał się — myślał z zadowoleniem — po tylu miesiącach drobnych kradzieży, ucieczek przed policją. Tej nocy zdobędzie mocną podstawę dla swej przyszłości.

Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, Vito przyjmie go do grona „wybranych chłopców”. — Muszę przekonać się — rzekł Vito — czy zasługujesz na całkowite zaufanie, mój Pretty. I dlatego zlecam ci wykonanie następującej pracy: dziś w nocy pójdziesz do Morana i zabijesz go.

Sycylijski Vito był wodzem zorganizowanej grupy młodych ludzi, pewnych i zaufanych. On sam ich wyszukał i dobrał jak drużynę piłkarską. Vito miał zawsze świetne o wszystkim i o wszystkich informacje, nikomu jeszcze nie udało się podstawić mu nogi, ani zaryzykować kawału. Chłopcy pracowali zgodnie i wykonywali rozkazy bez dyskusji. Nie było obawy, że któryś z nich mógłby zdradzić.

Dzisiaj w nocy, po wykonaniu roboty także i on stanie się ważnym ogniwem tej organizacji. Człowiek ambitny pod kierunkiem Vito może zająć daleko, stać się prawą ręką wodza... A może nawet zająć jego miejsce?.. Właśnie o tym myślał Vito, kiedy wszedł do domu, przeczekał, że wszyscy ludzie kładą się spać, także z przyczyn naturalnych — snuł marzenia Pretty.

Poprawił marynarkę, aby nie widać było, że ukrywa pod nią rewolwer. Vito na pewno wchodził w powodzenie tej pierwszej poważnej misji, którą mu wyznaczył. — Najpierw daj mi pieniądze, jeżeli to będzie konieczne — tłumaczył Vito. — Lecz uważaj, musisz się upewnić, że go naprawdę zabijesz.

Pretty zbliżył się do ostatnich drzwi w głębi korytarza. Zacinając się iść zapukał do drzwi: trzy szybkie uderzenia, pauza, potem dwa razy. To był umówiony sygnał.

Usłyszał szmer za drzwiami, przytłumiony głos zapytał: — Kto tam?

— To ja, Pretty — odpowiedział chłodnie przykładając usta do szpary w drzwiach. — Przysyła mnie Vito.

Nastąpiła długa cisza, a potem słychać było, jak łańcuch obsunął się po drewnie i trzasnął zamek. Powoli, skrzyjąc otworzyły się drzwi. Wnętrze mieszkania było pogrążone w ciemnościach.

Pretty stanął w progu i czuł, jak krople potu spływają mu po twarzy.

— Spokojnie, spokojnie — mówił sobie, na próżno usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności. — Rób wszystko spokojnie!

— Wejść! — powiedział jakiś głos.

Pretty odetchnął głęboko i ostrożnie wsunął się do mieszkania. Rozglądał się wokół. Jego wzrok zaczynał przyzwyczajać się do ciemności, gdy nagle oślepiła go lampa. Drzwi z trzaskiem zamknęły się.

Pretty przymrużył oczy i unosił rękę do wnętrza marynarki. Zawisała w powietrzu, gdy zobaczył lufę rewolweru z tłumikiem, wymierzoną w jego kierunku.

Mężczyzna był atletycznej budowy, mógł mieć około sześćdziesięciu lat. Oczy miał ciemne i chłodne, arnie włosy opadały mu na czoło prawie dotykając gestych brwi. Zdjął mięsistą rękę z kontaktu elektrycznego.

— Pretty? — zapytał kpiącym tonem.

— Tak, właśnie tak. A pan nazywa się Moran?

Olbrym mierzył wzrokiem kościstą i obsypaną piegami twarz, którą miał przed sobą. Ironiczny uśmiech nie schodził mu z ust.

— Tak, jestem Moran. Pretty? *) Figlarnie imię. Kto ci je przypisał, chłopczyku?

Pretty starał się opanować wściekłość, która go ogarniała. Wiedział, że wyjął rewolwer w tym momencie znacząco to samo, co podpisał na siebie wyrok śmierci.

— Vito — odpowiedział spokojnie — Vito mnie tak nazywa.

— Miał Sycylijski umie być dowcipny, co, moja ślicznotko? Nie ma wiele w mózgu, ale się zna na kawałach.

Moran wciął się uśmiechał, opuścił teraz rewolwer o kilka centymetrów. Nagle zapytał:

— Czy przyniosłeś pieniądze, Pretty?

Pretty przytaknął, palając gniewem. Cierpiał niezmiernie, gdy się wysmiewano z jego wyglądu fizycznego. Przygotowywał się w myślach do tej chwili, gdy przed odejściem wbił kulke w usta Morana i zerze z jego twarzy ten fałszywy uśmiech. Vito nie wyjaśnił mu, dlaczego należy zabić Morana. Dotąd Pretty traktował to jako robotę na zamówienie organizacji, lecz teraz dołączyły się jeszcze motywy osobiste.

— Daj mi pieniądze — rozkazał Moran.

Naturalnie, dam ci je z przyjemnością — pomyślał młody człowiek. Gdy podniósł rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, zobaczył, że rewolwer meżczyzny przybliżył się a duży palec był oparty o spust. Zadrżał widząc broń i groźny wzrok Morana. Przeklnął ślinę starając się mówić normalnym tonem.

— Do diabła, Moran, dlaczego jesteś taki porwyczy? Czy nie chcesz pieniędzy?

Obserwował przeciwnika oddychając z trudnością. — Ten łobuz jest spryt-

ny — stwierdził, — lecz może uspokoi się, gdy otrzyma pieniądze. A ja przejdę do działania.

— Uspokój się, zgoda? — rzekł pojednawczo Pretty.

Moran zbliżył się i przyłożył mu rewolwer do czoła.

— Poruszaj się powoli, gdy będziesz mi dawał pieniądze. Nie szarp marynarki, słyszysz?

Ostrożnymi ruchami Pretty wsunął rękę do marynarki, wyjął powoli z kieszeni sakiewkę i podał ją Moranowi. Ten wziął ją wolną ręką i kazał chłopcu odwrócić się do ściany. Szybko przeleżył pieniądze.

— Zdaje się, że jest tu cała suma, tysiąc pięćset dolarów — stwierdził z zadowoleniem. — Możesz teraz odwrócić się, ślicznotko — dodał obojętnie.

Pretty przyglądał się Moranowi z łomioną wiadomością, że nosił w kieszeni tak wielką sumę pieniędzy. Tysiąc pięćset dolarów! I tylko za to, że miał kogoś usunąć. Do diabła! Lecz on zabije Morana bez żadnej zapłaty, nie weźmie ani centa. Zrobi to dla Vito. Tylko dlatego, żeby pokazać, iż jest chłopcem jak należy.

Zadawał sobie pytanie, ile też może być warta robota, którą miał wykonać. Na pewno dużo, szczególnie, gdy się ryzykuje z takim starym łsem, jak Moran.

— Przykro mi, że cię tak musiałem przyjąć — usprawiedliwiał się Moran. — Ale muszę być ostrożnym wobec ludzi, którymi posługuję się Vito.

— Nie sakodzi — odpowiedział Pretty, oczekując niecierpliwie chwili, aż Moran odłoży rewolwer.

— Nie gniewasz się na mnie, chłopczyku, co?

Moran wsunął sakiewkę do kieszeni, opuściwszy rękę, w której trzymał rewolwer.

— Napijesz się czegoś, Pretty?

— Zgoda — odpowiedział zbliżając się do stolika, przy którym usiadł Moran. Zmierzył wzrokiem atletę wyborażając go sobie, leżącego na ziemi z kulą w czoło.

Moran napełnił dwa kieliszki przyglądając się spod oka gościowi. Broń ciągle trzymał w ręce.

— Za twoje zdrowie, chłopczyku — rzekł.

Pretty podniósł kieliszek. — Podwójna porcja whisky — zauważył ze wstrętem. Wypił trunek jednym tchem, unikając wzroku Morana. Nie chciał, żeby zobaczył łzy, które mu napłynęły do oczu, gdy wódka przepływała przez gardło. Pocięził się nadzieją, że nie poczuje go drugim kieliszkiem.

— Zachowałeś się wspaniale, chłopie. Wiem, że ten, którego przysłał Vito jest na pewno spryciarzem. Tacy chłopcy bardzo mi się podobają.

Pretty uśmiechnął się z przynusem.

— Nie uważam, żeby tu coś było, co wymaga sprytu. Przyszedłem tylko dlatego, żeby oddać sakiewkę z pieniędzmi.

Moran przyglądał mu się badawczo. — Wiem o tym. Lecz wydaje mi się, że Vito oszukuje cię, wiedząc, że ma do czynienia z naiwnym chłopcem.

— Oszukuje? Dlaczego? — zdumiał się Pretty.

— Wiesz, ta jego gadanina, którą tak lubi się popisywać na temat swej grupy, jej organizacji i rzetelności. Te przechwałki o tym, jak trzyma swoich chłopców,



— Ależ wszyscy wiedzą, że nasza organizacja jest bardzo silna.

— Wszyscy — to kto? Ty i Vito? Czy rozmawiałeś o tym z innymi?

— Nikt nie rozmawia o naszym dowódcy, to niebezpieczne.

— A ja mówię o nim. Vito nie dotrzymuje obietnic i chłopaki zaczynają się buntować.

— A jednak ci zapłacił, prawda?

— Ten wstrętny robak jest ostrożny i pilnuje się, aby mi nie wejść w drogę.

Było widoczne, że Moran nie bał się Vito. — Dlaczego mi o tym mówisz — spytał Pretty.

— Naprawdę cię to interesuje? Ciągłonieś mnie za język, żeby to później wypaplać Sy ylijczykowi.

— Vito mnie nie kupił, wszystko co mówisz zostanie między nami.

— Zachowuj się rozsądnie. Zdaje mi się, że jesteś człowiekiem, którego poszukuję.

— Po co?

Moran wychylił kieliszek. — Żeby zabić Vito.

Pretty wstrząsnął się. Nie mógł opowiadać drżenia.

Moran wyjął sakiewkę i położył na stole pięćset dolarów. — No weź je — zachęcał posuwając banknoty w kierunku chłopca.

— Dlaczego chciałyby usunąć Vito?

— Chcę zająć jego miejsce. Już wszystko załatwione z jego chłopcami. Lecz żaden z nich nie ma twojego sprytu... twojej ambicji, tak przypuszczam.

— Co będę miał z tego, jeżeli Vito zginie?

— Zostaniesz moim zastępcą, moją prawą ręką.

— To jest bardzo ryzykowne. Myślę, że za taką robotę należy się co najmniej tysiąc pięćset dolarów.

Moran podał mu sakiewkę z resztą pieniędzy. — Zgoda, załatw to jeszcze dziś w nocy. Powodzenia, chłopczyku.

Pretty schował pieniądze. — Dzięki je, przyjdę jutro do ciebie. — Skierował się ku drzwiom.

— Chwilczkę jeszcze — zawołał Moran.

Pretty odwrócił się. — Słucham.

— Vito będzie bardzo zmartwiony, mój chłopcze.

— Na pewno — uśmiechnął się sztywno Pretty. Nagle zniechęcił się do niego skierowany ku sobie rewolwer.

— Vito myślał, że wyjdiesz z próby zwycięsko. Omylił się.

— Próba?... — wyjął Pretty. — Przecież mi powiedziałeś...

— Zgnij w piekle, wstrętny robaku! Pretty wyciągnął rewolwer, nacisnął spust. Broń nie działała. Dał mu ją Vito.

— Nie! nie! — krzyknął przerażony.

Padiły dwa strzały. Moran zbiegł szybko po schodach.

*) W języku angielskim „pretty” znaczy ładny, piękny.

Oprac. A. S.

Błękitne dziewczęta

40 tysięcy kibiców na stadionie w Turynie śledzi z napięciem rozgrywkę finałową o mistrzostwo świata w piłce nożnej kobiet. O puchar świata walczą z sobą włoskie i duńskie piłkarki. Gra jest żąrzarą. Zawodniczka włoska Elena Schiavo usiłuje strzelić gola. Udany gol Heleny Hansen zapewnia Duncum przewagę. Do końca meczu jeszcze tylko dwie minuty.

Długo minuty dla rozpaczliwie walczących Włosek. Sewcikowa zdobywa bramkę dla Dunek.

Gra skończona. Jej wynik 2:0 dla drużyny duńskiej. Jej kapitan Schaefer unosi wysoko zdobyty puchar Schiawoszy głową, słuchają duńskiego hymnu. Plac... A przecież niektórzy twierdzą, że dla tych dziewcząt, piłka to tylko rozrywka, jedna z form spędzenia

wolnego od pracy czy nauki czasu... i to na wolnym powietrzu.

Jak jest naprawdę? Każda przegrana to dla... „niebieskich” prawdziwa tragedia, każde niepowodzenie obławia żłami. Tak było i w Turynie. W hotelu tego wieczoru z niecierpliwością oczekiwano na nie. Wszystko było przygotowane na przyjęcie dziewcząt. Wszak to pierwsze w historii włoskiego sportu zwycięstwo drużyny piłkarskiej.

O północy wpadły do hali zrozpaczone, zapłakane dziewczyny. Adriana Canapa, bramkarz — Wilma Seghetti, grająca na prawym skrzydle Enrica Colla — wszystkie z trudem powstrzymywały łzy. Ale jak właściwie grają

te włoskie piłkarki? Mieszając temu na meczu w Bolonii wśród kibiców znajdował się Edmondo Fabri — trener męskiej drużyny. — „Chciałbym mieć u siebie niektórych z tych dziewczyn!” — mówił Fabri — „Takie zawodniczki jak Elena Schiavo, Maria Medri, a także Angielka Susan Lopez, Dunka Birgit Nielsen, Helena Hansen czy Meksykanka Juanita Vargas mogą z powodzeniem grać w drużynie męskiej Genui, Wenecji czy Padwy.”

Co u tych dziewcząt zadziwia — to ich odwaga, dumna i kondycja fizyczna. Oto co mówi Elena Schiavo: — „od mężczyzn różnimy się tym, że nigdy nie narzekamy, nawet gdy ktoś na boisku podstawi nam nogę, lub gdy dosta-

niemy łokciem w bok. Zadane z nas nie rzucą się na ziemię — do końca staramy się trzymać na nogach.” „Gdy jakiś piłkarz narzeka na ciężką grę nazywają go „babą.” My kobiety chcemy pokazać panom piłkarzom, że ból fizyczny dla nas nieważny.”

Morisa Mondo — studentka politechniki — 10 miesięcy temu, podczas meczu, zlamala w 3 miesiącach nogę. Nie chciała niczyjej pomocy, zacinając się sęby ze łzami w oczach poszła do garderoby podtrzymywana tylko przez swoją trenerkę — „bez noszy” — dodaje z dumą, — przecież nie jestem mężczyzną!” Enrica Colla, której Meksykanka Garcia złamała nos, oznajmia: — „nie boimy się niczego!” — Nie boją się i chyba mają ra-

cję. Przy rzutach karnych, stojąc w szeregu, w skupieniu, naprężony mięśnie czekają, aż piłka upadnie do bramki, nie chronią ani pierści, ani brzocho. Spośród „niebieskich” tylko jedna Schiavo nosi ochronny stanik. I tylko ona traktuje ten sport zawodowo, otrzymując 200 000 lirów miesięcznego wynagrodzenia. Inne w przerwach między meczami pobierają 500 lirów tygodniowo, 2000 lirów za grę, wygrana zaś przynosi każdej 3000 lirów. Wykluczenie z drużyny to prawdziwa tragedia zarówno dla dziewczyny jak i dla jej bliskich. Listem i prośbom nie ma wówczas końca. — „Nie wyrzucajcie mojej dziewczynki” — błagają matki. Wiek przeciętny „niebieskich” 14, 15, 17 lat. Naj-

starsza Dora Lertowa 23 lata.

Zdarza się, że narzeczoną sprzeciwiła się piłkarskiej karierze swej ułocha. Był i taki przypadek w drużynie Turynu: jedna z piłkarek nie mogła zdecydować się co wybrać: narzeczonego czy piłkę wybrała 20 pastylek barbituranów! Nie zdążyła jej ożenić.

„Niebieskie” — włoska reprezentacja piłkarska kobiet — wywalczyła w Meksyku II miejsce. To zwycięstwo sprawiło, że na piłkarki przestano patrzeć z przynurzeniem oka. A 40 tysięcy kibiców w Turynie to również dowód zainteresowania i uznania.

Opracowała:

MARIA TYMOWSKA